

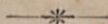


09

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10	{	Rocznie. . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów)	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów)	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki 1. 4

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 96.

WRÓG NAPOLEONA.

przez

Oskara Mysinga,

w przekładzie

Topora.

TOM I.

Cena 40 k.

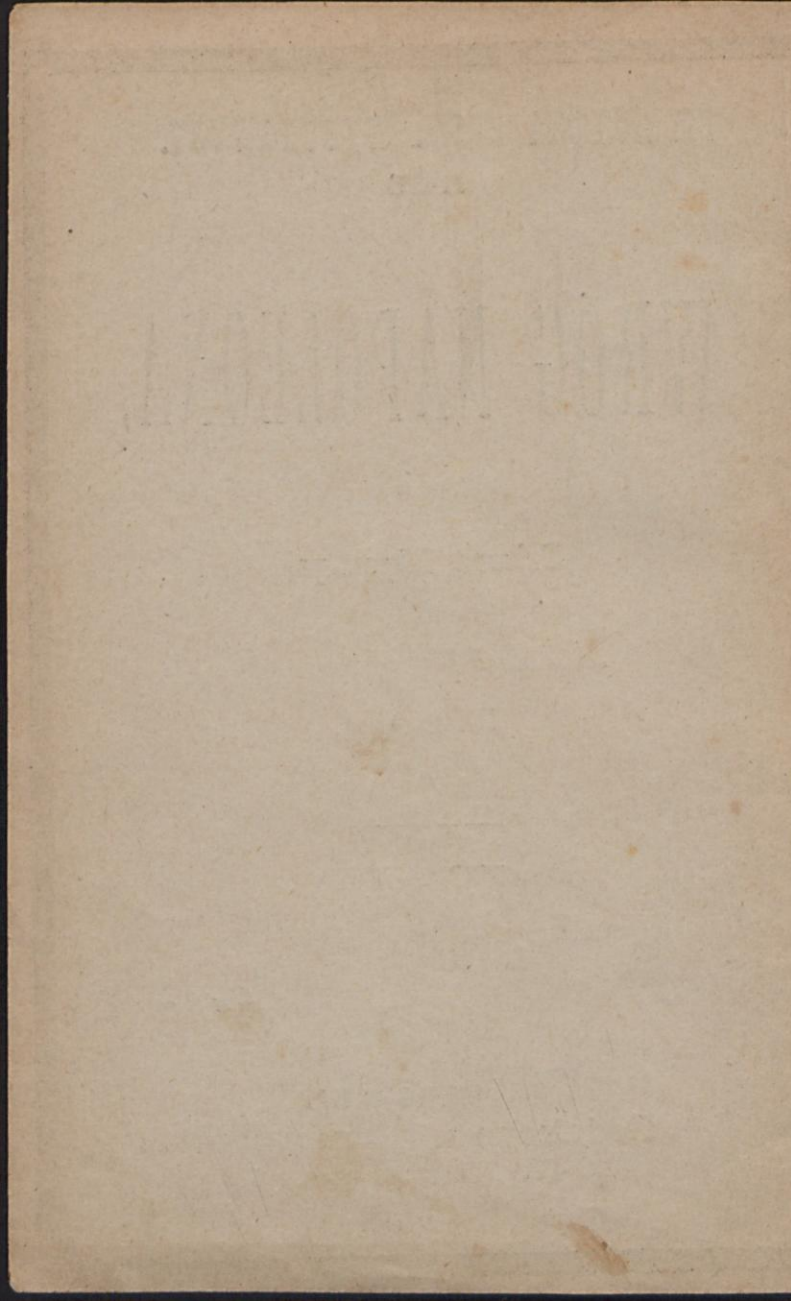
W prenum 30½ k.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

—
1899.



Oskar Mysing.

Wróg Napoleona

w przekładzie

TOPORA.

Tom I.

D^r. WŁADYSŁAW MEDZIAŁKOWSKI

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.



KMB

409

821.412.2-3

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Июля 1899 года.

Książnica Zamojska



10258721

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

ROZDZIAŁ I.

Kuplet o obywatelce Bonaparte.

Towarzystwo całe poziewało, znalazłszy się na ulicy.

— Oto rezultat nieprzespanej i przetańczonej nocy!

— Może się teraz napijemy ponczu?

— Eh, nie! jedźmy lepiej do Saint-Germain!

— Oszalałeś, Hektorze! Któżby o tej porze jeździł tak daleko!

To mówiąc, „pierrot“ spojrzał oburzony na stojącego obok „arlekina.“

— I cóżby w tem było tak dziwnego?— tłumaczył się „arlekin.“

— Zaproponuję wam coś lepszego!—rzekł najmłodszy z tej czwórki, niski, ciemnowłosy „hiszpan“, w czarnym, jedwabnym kostymie z czasów Filipa II, który mówiąc, gestykulował szeroko rękami.— Najlepiej będzie, gdy pójdziemy do „Café Elysée“ i tam przeczekamy do rana. Kawiarnia ta przez całą noc jest otwarta, jak zaś wiadomo, w hotelu „The-

lusson“ odbywa się dziś ostatni bal maskowy; z okien kawiarni doskonale będziemy się mogli przypatrzeć kobietom.

— Myśl nie najgorsza — zawołano — jedziemy zatem do „café Elysée.“

Wszyscy czterej młodzieńcy wolno posuwać się zaczęli przez puste ulice ku bulwarom.

Poranek marcowy dżdżysty był i przejmujący zimnem, z po za mgły świeciły blado latarnie uliczne, czwórka zaś mijała niewielu przechodniów, którzy na chwilę zatrzymywali się, zdziwieni kostyumami i wesołością młodzieńców.

Zdaleka już było światło z sal, słychać było turkot kół, świadczący o znajdujących się w pobliżu wielkich zakładach, w których karnawał ostatnie swoje kończył godziny.

W „Café Elysée“ ruch, pomimo pory spóźnionej, panował jeszcze wielki. Maskaradowicze weszli do sali, urządzonej z przepychem, gdzie ściany obite były złotem i przybrane lustrami wspaniałymi. W tych lustrach i przy blasku lichtarzy kryształowych odbijały się znużone twarze gości. Na niewielkiej estradzie śmiertelnie zmęczona orkiestra, również przebrana w maski i kostiumy, wygrywała ostatni już kawalek.

— Gotów jestem tym muzykantom dobrze zapłacić—mruknął jeden z młodzieńców—gdyby chcieli nam zagrać nasz „taniec majtków.“

— Cóż to za taniec?

— Ba! cała sztuka w tem, że skrzypce muszą być wtedy napelnione portweinem, trąbki podziurawione, jak rzeszoto, kotły oblane porterem, muzykan-

ci zaś przed rozpoczęciem gry powinni wypić co najmniej po dwie kwarty araku na osobę; najstosowniejsza to muzyka na dzień popielcowy.

Słowa te, wypowiedziane były z akcentem angielskim, a mówiący ściągał przytem wargę dolną tak, że tworzyło to pewien rodzaj grymasu; towarzysze wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Ten pomysł jest istotnie godnym ciebie, sire Elton!

— Ależ to waryactwo skończone!

— Nie rozumiem dlaczego? Pomysły moje są zawsze rozsądne!

— Obierzmy sobie lepiej posterunek przy oknie — wtrącił Hiszpan — wyszukałem punkt znakomity, z którego będziemy mogli widzieć wszystko, co się dzieje u Thelussona. Bał powinien się skończyć niezadługo.

— Masz rację, genialny jesteś, Armandzie! Zobaczmy, jakie też tam dziś zebrało się towarzystwo.

— Pani de Contades stawiała się niezawodnie.

— O tem niema nawet co mówić!

— Któż to jest ta pani Contades? — rzucił zapytanie Anglik, wszyscy zaś trzej młodzieńcy patrzyli na niego z politowaniem.

— Mój panie — odparł tonem wyższości i nie dbale młodzieniec, którego nazywano Hektorem — jesteś dopiero od dwóch miesięcy i chciałbyś już znać Paryż! Jeżeli chcesz naprawdę poznać go dobrze, to przede wszystkim każ się przez kogoś wprowadzić na salony pani de Contades. Wszystko, co Paryż ma

najwybitniejszego pod względem umysłu, piękności, elegancyi, gracji, znajdziesz u pani de Contades.

— Zupełnie się z tobą zgadzam — wtrącił Armand—pani de Contades jest panią de Contades, a to objaśnia wszystko.

— Jest to kobieta, o którą więcej odbyło się pojedynków śmiertelnych, aniżeli zmieniło się przez lat pięć ministerjów we Francji.

— Kobieta, która przysięgła, że przywróci znów królestwo we Francji—wtrącił trzeci.

— Czyżby tak było wistocie?—zapytał się z ironią sire Hugh Elton, w tej chwili zaś dodał:—Raczie mnie jednakże usprawiedliwić, że będę musiał się oddalić. Właśnie spostrzegłem służącego mojego, który czekał na mnie przed ogrodem Birona i któremu dać muszę pewne zlecenie.

Anglik lekko tylko skinął głową towarzyszom i oddalił się, przeciskając przez tłum gości z bezwzględnością, właściwą wszystkim jego współrodakom. Wysoka i muskularna ta figura, zdawałoby się, że złożona tylko z żył i kości, o twarzy gładkiej, bez zarostu, na której trudno wyczytać było, czy jej właściciel liczy lat dwadzieścia pięć, czyli też czterdzieści, łatwo torowała sobie drogę pomiędzy gęsto rozstawionemi stolikami.

Znali Eltona wszyscy od dwóch miesięcy, pomimo to przyglądali się mu zawsze ciekawie, każdy bowiem dzień niemal zaznaczał się nowemi oryginalnościami i ekscentrycznemi pomysłami Anglika.

— Udała nam się ta sztuka! — zauważył Hector—ten Anglik eksportowy jest w sam raz dla na-

szych paryżanek. Gdybyż jeszcze nie był właścicielem takich koni i takiego ekwipażu!

— Przytem pije jak bąk!— Wczoraj siedząc na oknie u Vesmersa, wypił trzy butelki „volney“ jedną za drugą.

— A te jego perfumy oryginalne!

— Dajcie pokój, pomimo to bowiem, a może właśnie dlatego, ma wielkie szczęście do kobiet.

— Że ma szczęście, to nieulega wątpliwości— rzekł Armand—zresztą dlaczego miałby go nie mieć! We wszystkim, co robi i jak się ubiera, jest smak, jest oryginalność.

— Mój drogi — przerwał Hektor z odcieniem lekkim ironii— daruj, ale ja nie widzę żadnego smaku np. w tych guzikach, które sir Hugh nosi na odwrot przypięte u kolan; przyznasz mi także, iż dziś żaden szanujący się człowiek nie nosi koszuli batystowej, zwłaszcza z takim wielkim złotym motylem, jako agra! Po za tem sir Hugh Elton jest bardzo miłym człowiekiem, wybornym towarzyszem zabaw, słowem, nieocenionym nabytkiem.

Zamilkli wszyscy, wiedzieli bowiem, że w kwestjach mody Hektor de Laringuet był wyrocznią.

Armand de Vitry stanął przy oknie i ciekawie badał, co się dzieje w hotelu Thelusson, po chwili zaś zawołał:

— Patrzcie! tłusta Hainguerlot także znalazła się na balu!

Okolo Armanda cisnąć się zaczęli towarzysze i wszyscy teraz razem spoglądali na dom przeciwległy. Wielka fasada hotelu błyszczała w pełni światła, przez rzęście oświetlone okna widać było wspaniałe

świeczniki, artystycznie pomalowane sufity, szkliste posadzki i cienie, przesuwające się w różnym kierunku. Patrzący odróżnić mogli dobrze najróżnobarwniejsze kostyумы i maski, kobiety w długich dominach, arlekinów, cyganki, Turków, dumnych rycerzy w płaszczach. Jakiś szal, gwar, przepych, woń przelewały się aż na ulicę od tych ludzi, przesyconych użyciem, zmęczonych zabawą, na ulicy zaś przystawały i cisnęły się gromady ciekawych, pragnących przyjrzeć się tym przepychom i bogactwom, bale bowiem maskowe w hotelu Thelusson sływały od lat kilku. Tu gromadziło się najlepsze towarzystwo za czasów Dyrektoryatu, tu widzieć można było Barrasa z panią Talien i ową powabną kreolkę, która dawniej zwała się „wdową Beauharnais,” dziś zaś nazywa się „obywatelką Bonaparte.“

Lokaje pędzili w tę i ową stronę, sływać było przekleństwa, wywoływania stangretów i wjeżdżanie powozów; jak gdyby ulice zamknięto zupełnie, nikt nie mógł się przecisnąć i tylko ciągle wzmagala się liczba ciekawych. Tamci na ulicy patrzyli, gapili się i krytowali na swój sposób rozbawionych gości hotelu Thelusson, nasi zaś młodzi mężczyźni z „café Elysée“ czynili przegląd ze swobodą dobrze wychowanych młodzieńców ze sfer wielkiego świata.

— Oto pani Récamier.

— Ten długi, jak tyka, jegomość, to Ouvrard!

— Cóż ty mówisz? To generał Massart!

— Nareszcie ujrzałem moją prowansalkę — szepnął Hektor — przyrzekła mi, że po balu przyjdzie do Thelussona.

Śmiech zawtórował tym słowom, szczególnie

zaś wesoły był doktor Chevet, wysoki blondyn, o prawdziwie młodzieńczej twarzy.

— Zabawny jesteś, Hektorze! Prawdopodobnie nie wiecie nawet panowie — rzekł, zwracając się do towarzyszków — że nasz Hektor przez dwie godziny chodził po sali i szukał jakiejś prowansalki, którą znalazł nareszcie, a pomówiwszy zaledwie dziesięć słów, odszedł w swoją stronę.

— Dziesięć słów najzupełniej wystarczy, ażeby z piękną kobietą umówić się o rendez-vous — odparł Hektor poważnie i dodał: — Wy, medycy, nie wie-rzycie w nic, co do mnie jednak, zawsze wierzę w jasne włosy i ciemne oczy kobiety.

— Czyż naprawdę jasne ma ona włosy?

— I jakie jeszcze jasne! przepiękne!

— W takim razie dziwię się tylko — odrzekł doktor — że pan służyć możesz odrazu dwom bogom! Nie rozumiem, jak można podzielić uczucia pomiędzy prowansalkę o włosach jasnych i panią de Contades?

Przyjacielowi przyszedł w pomoc Armand i rzekł:

— Politeizm jest także religią, może nawet starszą, aniżeli inne.

— Patrzcie! oto teraz ukazała się młodziutka hrabina Montluc! Jakże ona pięknie wygląda w tej jasnej peruce.

— Nic w tem dziwnego! — mruknął Hektor — prawdopodobnie są to włosy jej brata, który został ścięty przez gilotynę.

Armand nie zwracał na to uwagi i mówił dalej:

— Bardzo jej do twarzy z tą peruczką jasną.

— Nie wątpię—wtrącił doktor Chevet—ale prawdopodobnie przyjemniejby było bratu, gdyby te włosy zostały na jego głowie.

Milczeli wszyscy i tylko przyglądali się dalej kobietom, które, zmęczone zabawą, z oczyma wyblakłymi, kroczyły ku powozom po wspaniałych schodach, kwiatami ubranych.

Nikt nie zwracał uwagi na to, że te kwiaty, rozesłane gęsto, zdają się budzić wspomnienie krwi przelanej, że czerwone ozdoby sukien jak gdyby krwią były nasiąkłe i że ta krew spływać się zdawała na białe rączki i bielsze jeszcze pantofelki atlasowe...

Zaczęło świtać; wschodził znów jeden z tych dni marcowych smutnych, ponurych i mglistych; wiatr powiał na ziemię, rozpraszając ciemności nocy i chmury zawisłe nad Paryżem.

Na ulicach gasić zaczęto latarnie i natychmiast pojawili się kościarze i kościarki z haczykami, pracujący od świtu nad wydobywaniem z bruku i rynsztoków szmat i wszelkich zgubionych drobiazgów.

Tych ludzi nie obchodził świat cały, jak nie obchodził również karnawał piekarzy, rzeźników i sklepikarzy, zabierających się już do roboty.

Ci jedni nie czuli zmęczenia po dobrze przespanej nocy i nie zauważyli, że kwiaty balowe wędły, że cichły melodye taneczne i opadały ciężkie powieki rozbawionych osób z towarzystwa.

W „Café Elysée“ kurz zaległ podłogi i stoły, na których tułały się resztki drogich napojów, co wszystko razem wydawało jakąś woń mdlącą. Świece dogasające, perfumy, wyziewy sukni kobiecych, wi-

no — wszystko to mieszało się i wciskało nawet do najdalszych kątów.

Poranek zaciężył na wszystkich i chociaż goście starali się ukryć przed sobą znużenie, chociaż kostiumy maskaradowe nie licowały z nastrojem, to jednak trudno było o rozmowę ożywioną i wesołą.

Na szczęście, pojawił się w tej chwili sir Elton i zasiadł swobodnie przy stole, a zwracając się do Hektora, rzekł:

— Czy widziałeś pan dziś obywatelkę Lecjerc? Prześlicznie wyglądała w kostiumie Aryadny.

Hektor uśmiechnął się złośliwie.

— Nie zajmują mnie tego rodzaju postacie — rzekł pogardliwie.

— Parbleu! Przecież Paulinka jest naprawdę ładną!

Sir Hugh chciał mówić dalej, ale towarzysze dali mu znak porozumiewający, Armand zaś zauważył:

— Już to przy Hektorze nie wolno wspominać nigdy nazwiska Bonapartych, jak nie wolno czynić tego również przy pani de Contades. Dla tych ludzi nie istnieje zupełnie jakaś tam rodzina korsykańska.

Anglik ziewnął przeciągle.

— Ach Boże! wpadacie znów na tę waszą politykę! Ładna kobieta jest zawsze tylko ładną kobietą, oto moje zdanie, a Paulina Bonaparte jest naprawdę piękną.

Rozparł się niedbale przy stole i rzekł od niechcienia:

— Więc ta wasza pani de Contades jest naprawdę wrogiem Rzeczypospolitej?

— Ależ ona śmiertelnie jej nienawidzi! Czy nie wiadomo panu, jak się wyraziła o armii republikańskiej?

— Nie słyszałem dotąd, mruknął sir Elton.

— Ależ to odważna kobieta! Ona śmiała powiedzieć, że wielki Kondeusz takich oficerów użyłby co najwyżej za lokajów, ale do wygrywania bitew innych potrzebowałby ludzi.

Rozmowę tę przerwał doktor Chevet, pokazując palcem jakiegoś nikłego człowieczyne w łachmanach, który nagle pojawił się na rogu ulicy i podszedł do wrót hotelu, a zdjawszy kapelusz z głowy, czekał, czy mu ktoś nie rzuci jałmużny.

— Zdaje mi się, że to markiz Lafarc?

Armand potwierdził głową.

— I gdy się pomyśli, że ten człowiek przed rokiem 87-ym był milionerem, to...

— Ha! Od tego czasu zmieniło się wiele! upadli nawet więksi od niego! Przecież nawet jeden Montmorency umarł w szpitalu.

— Zaiste! ta rewolucya dała prawdziwą naukę moralną wszystkim — zawołał Hektor drwiąco — nic w tem zresztą dziwnego, toć nawet od zwierzęcia dzikiego można się czegoś nauczyć! Lew i tygrys stanie się mądrym, cnotliwym i moralnym, gdy się naje do syta!

— Smutny rezultat, gdy ze wszystkich zabiegów swoich człowiek wynosi to jedno zadowolenie, że uszedł z życiem.

Doktor wtrącił się do rozmowy.

— Jeszcze lepiej, gdy człowiek po pogromie wynosi bodaj jakieśkolwiek iluzye.

— Czyż, doktorze, wyniosłeś z pogłemu ilu-
 zye? — rzekł Hektor, badawczo spoglądając na leka-
 rza — zazdroszczę ci, bo szczęśliwszy jesteś odeniniei
 Co do mnie, mam takie chwile, że nie wiem, kogo
 więcej przeklinać, czy filozofów, czy lichwiarzy; pier-
 wsi wypróżniają człowiekowi serce, a drudzy kie-
 szenie.

Towarzysze zabawy śmieli się z tego porówna-
 nia, ale Hektor lekko targał tylko swego wąsika czar-
 nego, oczy zaś miały wyraz smutny i zdawało się,
 że wzrok tonie gdzieś w bezmiarze rozpaczy.

Cała postać tego człowieka świadczyła, że jest
 on z natury nader wrażliwy; włosy kręjące się, ciem-
 ne, twarz blada, ale pełna ruchu, oczy bystre
 o brwiach gęstych i powiekach biegających szybko,
 wreszcie gestykulacya długich i bardzo białych rąk
 czyniły z Hektora postać niezwykłą.

Na pozór zdawałoby się, że to tylko jeden z wie-
 lu wesółch młodzieńców, przy bliższem jednakże ba-
 daniu nie trudno było dostrzedz odcień melancholii
 i powagi na czole, oraz marzycielstwa w oczach; He-
 ktor podobny był do Don Juana Molière'a, który na
 to tylko tu przyszedł, ażeby zagłuszyć w sobie tę-
 sknotę za niedoścignięmi ideałami i zapomnieć o na-
 dziejach rozwianych.

Dziwny to był człowiek! Przy grze najzapaleń-
 szy, podczas wyścigów najzapamiętałszy, wobec ko-
 biet najbardziej obcesowy i nadający ton, a jednak
 bywały często takie chwile, że w trakcie najlepszej
 zdawałoby się zabawy opuszczał zebranie, przepadał
 dla towarzystwa i godziny, a czasami i dnie całe

nawet zamykał się przed ludźmi, zmuszony zaś spotykać się z nimi, milczał uporczywie.

Żaden z przyjaciół nie mógł się pochwalić, że zna dobrze Hektora, jeden tylko może doktor rozumiał tę niezwykłą naturę.

Przyjaciół Hektora drażniło nieraz jego zachowanie, więc i teraz, po tem odezwaniu się, rzekł zimno Elton:

— O tego rodzaju ludziach, co pan, powiadają w mojej ojczyźnie, że dotknięci są spleenem.

Hektor podniósł głowę w górę.

— Niechaj sobie Anglicy mówią, co chcą—zawołał—a ja powiadam, że uduszę się w tej sali; potrzeba mi powietrza!

— Jakże to? Nie chcesz poczekać na panie?

— Ba! gdybym wiedział, że moja prowansalka znajduje się pomiędzy niemi, to gotówbym był nawet pozostać!

— Pokaż ją nam, chociażby zdaleka!

— *Parbleu!* gotów to jestem uczynić — rzekł i wyszedł, po chwili zaś słyhać było, jak odjeżdżał powozem, który właśnie zajechał w tej chwili.

— Dziwny człowiek! ręczę wam, że pojechał teraz na Boulevard du Temple wyprawić ucztę dla aktorów teatru Audinota, jak to uczynił niedawno.

— Musieli się tem zbudować jego wierzyciele—zaśmiał się Armand.

— Czy pan de Laringuet ma długie?—spytał się ciekawie Elton.

— On? Jak piasku na dnie morskiem, niezliczone sumy jest winien. Rodzice jego za czasów Rębespiere'a padli pod nożem gilotyny, on zaś objął

interesa najzupełniej nieuregulowane, stąd też pochodzą ustawiczne stosunki jego z bankierami. Najgorszym z jego wierzycieli jest wielki przedsiębiorca Grosrenard, prowadzi on z nim wojnę formalną.

— Co pan mówi?—zawołał Elton.

— I pan nic nie wie o tem? Przecież niedawno Grosrenard kazał Hektora aresztować na balu właśnie podczas najlepszej zabawy. Kiedy to nie skutkowało, potężny przedsiębiorca zawiązał się tak zgrabnie, że ministeryum wojny wydało rozporządzenie, ażeby Hektor bezwzględnie wzięty był do wojska. Odesłano go do Strasburga, skąd jednakże po tygodniu wrócił do Paryża,

— Jakże to było możliwe?

— Poprostu drapnął z wojska i kto wie, co by było dalej się stało, gdyby nie protekcyja Sieyésa i pani de Contades.

— Pan Hektor zatem w dobrych stosunkach pozostaje z panią de Contades.

— Ho, ho! W każdą środę bywa u niej na przyjęciach, złośliwi zaś opowiadają coś więcej jeszcze.

— Ale nie mają racyi—przerwał doktor, wzruszając ramionami—czego to już ludzie nie wymyślili o pani Contades!

— Zaciekawia mnie teraz naprawdę ta dama—rzekł, śmiejąc się sucho Anglik—i szczerze pragnąłbym ją poznać.

— Oto i ona! — zawołał Armand, pokazując przez okno postać kobiecą.

Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę i zauważyli, że w przedsionku hotelu Thelusson ruch zrobił

się niezwykle. Na schodach ukazała się młoda jeszcze kobieta w towarzystwie mężczyzny, który z pełnym szacunkiem podał jej ramię. Stojący przy oknie poznali w nim deputowanego Arenę. Ona obojętnie oparła się na ramieniu mężczyzny i zdawało się, że ta postać, zaledwie średniego wzrostu, i te duże ciemne oczy nie zauważyły nawet ludzi, którzy z wyszukaną atencją ustępowali jej z drogi. Na obliczu pani de Contades znać było znużenie, twarz jednakże zachowała wyraz spokoju, choć blada była jak marmur.

Ubrana w kostyum sultanki arabskiej, wyglądała wdzięcznie w sukni z żółtego jedwabiu, przepasanej na biodrach szarfą czerwoną; na głowie, albo raczej na włosach ciemnych, spiętych dwoma sznurami pereł, osadzony był turban malowniczy.

Znalazłszy się w przedpokoju, pani de Contades zatrzęsa się z zimna, okryła się zatem szczelniej szalem i z wolna kroczyć zaczęła na dół po schodach. Ruch zrobił się wielki, powstał szmer, zaczęto szeptać, a wszyscy mężczyźni powyciągali szyję, ażeby przypatrzeć się tej parze; ludzie dzierżący władzę i posiadający wpływy, deputowani, dostojnicy Rzeczypospolitej kłaniali się uniżenie, damy cicho czyniły uwagi, niejedno zaś oko kobiece błyszczało zawiścią, ale ona nie zwracała na to uwagi i w kostymie królowej z bajki spokojnie zdążyła ku powozowi.

— Więc to jest owa pani de Contades? — zapytał Hugh.

Armand potwierdził głową i rzekł:

— Pani Estella de Contades!

Anglik nie pytał się więcej, oczy jednakże zwrócił bacznie na słynną kobietę.

— To dziwne! — mruknął doktor — przypatrzcie się, panowie, jej kostyumowi, czyż on nie przypomina wam tej biednej Mailly, tancerki i kochanki Dantona, której w r. 94 tym ścięto głowę; podczas przedstawienia opery „Zaire“ zupełnie taki sam miała kostyum.

Armand zaprzeczył:

— Mylisz się, doktorze, owej Mailly nie ścięła gilotyna, ale dopiero w maju 95-go roku powstańcy schwycili ją na szpiegostwie w Wandei i tam została rozstrzelana. Wiem o tem dokładnie, wuj mój bowiem dowodził rozstrzelaniem.

— Ładna też tego wuja spotkała nagroda — odrzekł z bolesnym uśmiechem na ustach — nie upłynęło nawet dwóch tygodni od owej chwili, a poszedł również pod nóż gilotyny.

— Każdy z nas ma takich w rodzinie swojej, toć i brat twój, panie doktorze, dać musiał głowę w Orleanie, jako federalista.

— Ba! — zauważył doktor filozoficznie — przed pięciu laty obwożono po kraju gilotynę, dziś zabija się ludzi przy pomocy pięknych strojów kobiecych, ale głupota ludzka pozostała jak dawniej. Czy nie prawda, że te białe piórka u turbanu pani de Contades stroiły ją prześlicznie?

— Stara to moda! Dzisiaj najświeższą modą dla pań jest czapka *à la Nelson*.

Doktor zaśmiał się szczerze.

— Pokazuje się z tego, że moda zawsze i na

wszystkiem musi zarobić, nawet na klęskach narodu; czapkę *à la Nelson* zawdzięczamy Abukirowi!

— U nas tak zawsze — zawołał Armand, do kór zaś dalej czynił uwagi.

— Czyż jest wogóle coś nowego pod słońcem? Jedna tylko cnota, choć zdawałoby się, że odwieczna, zawsze jest nową.

Tak było i tak będzie, chyba, że w nowem stuleciu zmieniają się stosunki, a to stulecie zacznie się już za dziewięć miesięcy.

Nowa scena, jaka zaszła w hotelu Thelusson, wstrzymała dalsze uwagi mężczyzn. Z chwilą, gdy pani de Contades znalazła się na chodniku ulicznym i zamierzała wsiąść do powozu, czterech oficerów 12-go pułku huzarów, w mundurach czerwonych z żółtym szamerunkiem, przybliżało się z hukiem w stronę hotelu. Pałasze rozpuszczone wywoływały hałas na kamieniach, znać też było, że panowie ci wypili ponad miarę, jeden zaś z nich trzymał w ręku maskę o nieproporcjonalnie długim nosie.

Pułk 12-ty, przydzielony do armii nadreńskiej Jourdana, nie znajdował się w Paryżu o tej porze, czterej więc oficerowie albo bawili się w stolicy za urlopem, alboteż należeli do deputacyi, wysyłanej dość często przez dowódcę korpusu do Dyrektoryatu; w każdym razie używali widocznie rozkoszy karnewalowych. Widząc tłum przed hotelem Thellusson, zatrzymali się i zaczęli czynić głośno swoje uwagi.

Znane były poglądy pani de Contades, tej dumnej mieszkanki z Faubourg St. Germain, na armię i oficerów.

— O, o—pani de Contades!

— To ta, która zna się tak dobrze z wielkim Kondeuszem! Trzeba jej parę słów zasłużonych krzyknąć nad uszami!

— Lepiej zaśpiewajmy tę „piosenkę o Kreolce!”

To mówiąc, rozpychać zaczęli tłum i zbliżywszy się tuż do powozu, zaśpiewali słynny podówczas kuplet na cześć obywatelki Józefiny Bonaparte:

„Une belle créole aux yeux si doux.”

W piosence tej, która po raz pierwszy zabrzmiała w kołach oficerskich armii włoskiej, podnoszono przymioty, wdzięk, dobroć i miłe zachowanie się pięknej Józefiny i drwiono sobie nielitościwie z „lalek zamieszkujących Faubourg St.-Germain.” Lalki te wystawione były jako sowy, zamieszkujące ruiny pałaców.

Pani de Contades stała się trupio bladą, oczy zaś rozszerzyły się i rzucały pioruny na śpiewających. Arena postąpił kilka kroków ku oficerom, ale nie mógł przedostać się przez tłum, więc krzyknął tylko w ich stronę:

— Tchórze tylko zdolni są obrażać kobiety. Jeżeli też jesteście naprawdę ludźmi honoru, to dacie mi satysfakcyę za tę podłość!

Oficerowie chcieli się rzucić na Arenę, ale tłum stanął po jego stronie i zagroził drogę huzarom, a tłum nawet groźną przybrał postawę. Dały się słyszeć okrzyki: „Precz z mundurem czerwonym! nie potrzeba nam katów!”, inni znów drwili sobie z oficerów i powtarzali wśród ogólnej wesołości: „Oto macie pacholków obywatelki Bonaparte!”

Z trudem docisnęła się pani de Contades do powozu, zanim jednak wsiadła, raz jeszcze bacznie

przyjrzała się postaciom oficerów, jakby na zawsze chciała utrwalić sobie w pamięci te twarze. Powóz ruszył szybko z miejsca, kilku agentów policyjnych przyprowadziło porządek na ulicy, młodzi mężczyźni cofnęli się od okna i doktor rzekł:

— Założę się, że „Miroir“ wystąpi jutro z długim i ostrym artykułem o rozluźnieniu u oficerów. Jaką szkoda, że Hektora nie było pomiędzy nami. W ciągu tego kwadransu mógłby poczynić znaczne postępy u pani de Contades! Gdzież to jednakże podział się nam sir Elton?

Anglik stał na trotuarze, ręce włożył sobie w kieszenie i uważnie przypatrywał się całej scenie, kiedy zaś odjechał powóz pani de Contades, wrócił niezadowolony na górę.

— Szkoda, że już po wszystkim, miałem ogromną chęć poboksować się trochę, byłaby to dopiero prawdziwa przyjemność!

— Nie wiem, czy dla wszystkich byłaby przyjemność — zauważył doktor.

— To już mnie nic nie obchodzi, robię zawsze tylko to, co mnie bawi.

Dzień biały zaglądał już przez okna, Armand wyciągnął się, ziewnął i wszyscy zabierali się już ku wyjściu.

— Że pan jesteś oryginałem, o tem wiemy wszyscy — mówił Armand — radzę panu wszakże nie igrać z paryżaninami! Właśnie na takich, którzy jak pan, bawią tutaj dla przyjemności w Paryżu, lubią oni urządzać naganę.

Elton roześmiał się, ale ten śmiech brzmiał

sucho, twarz kurczyła się raczej i wyglądała w tym śmiechu odrażająco nawet.

— Czy znasz pan tych oficerów, którzy zaczepiali panią Contades? — zapytał się doktora.

— Nawet pojęcia nie mam, kto oni być mogą, to wiem jednakże, że gdyby ona na mnie spojrziała tak groźnie, jak to uczyniła względem nich, jednej nocy nie spałbym spokojnie.

ROZDZIAŁ II.

Kilka cyfr politycznych.

Najlepszem usprawiedliwieniem każdej rewolucyi jest to, że ona wybucha tylko wtedy, gdy gmach cały społeczny zaczyna się już rysować. Burza, która się wzbiera nad rozpadającymi się narodami, nad stosunkami rozsprzęgniętymi, nie zatrzymuje się tylko na niszczeniu pargaminów pożółkłych, tarcz herbowych zardzewiałych i przesądów kastowych, ale wali także domy, pałace i kościoły. Rewolucya stwarza wolną drogę dla talentów, ale równocześnie wytyka w ścisłem tego słowa znaczeniu ulice dla ruchu przechodniów, zazwyczaj bowiem rząd, który ma runąć, nie troszczy się o światło, powietrze i wygodę mieszkań.

Najlepszym tego przykładem był Paryż przed wybuchem rewolucyi, trudno też sobie wyobrazić coś więcej brudnego, zaułkowego i niesympatycznego nad dzielnice starego miasta, rozciągające się pomiędzy Cité a wielkimi bulwarami, w najbliższem zatem sąsiedztwie Tuileryj. Pomimo, że siedm lat minęło

od czasu, gdy burza rewolucyi przeciągała z całą siłą nad Paryżem, do tej pory nie było jeszcze chwili wolnej, któraby pozwoliła zająć się poprawą i odnowieniem domów. Ludzie nie wiedzieli, czy mieszkania ich na długo będą bezpieczne, czy długo pozwolą im cieszyć się spokojem i szczęściem w kole rodzinnem, umysły nie wróciły jeszcze do zupełnej równowagi, każdy miał tyle wspomnień przykrych, tyle głów ścięto, tyle ognisk zburzonol Ruiny piętrzyły się też w Paryżu i gdziekolwiek się było udać, wszędzie bramy rozbite, studnie połamane, w murach domów kule albo dziury pochodzące od kamieni; w ogrodach publicznych potrzaskane figury, drzewo ścięte i nieuprzątane przez nikogo. Jak człowiek, który z bójki ulicznej wyszedł wprawdzie zwycięzcą, ale z podartem odzieniem, tak samo wyglądał zwycięzki Paryż po rewolucyi. Najgorzej przedstawiały się dzielnice położone nad rzeką. Zawsze zaniedbywane, teraz, gdy właściwie nie istniała żadna policya, wyłącznie pozostawione były sobie tylko. Na niektórych ulicach Cité znać było ową starą „Lutecyę,” miasto szyprów średniowiecznych, z jego brudami, zaduchami i ciemnymi ulicami. Lęk brał zapuszczać się wieczorem w te strony, z niedowierzaniem patrzono na te niskie małe okienka, zasłonięte firankami, po za którymi gnieździła się nędza moralna.

Tego strachu nie czuł jednakże młody mężczyzna, zapuszczający się od Pont Notre-Dame w uliczki starego miasta, w pogodny, ciepły dzień kwietniowy. W jednym z rozpadających się domów trzypiętrowych mieściła się restauracya, nazwana:

„Oberżą pod zielonym szczupakiem.“ Właściciel tej restauracji nie musiał należeć do milionerów, przez sień bowiem ciemną wchodziło się do izby biednej, gdzie stoly nie wymyte przeznaczone były dla przybywających; lepsi goście wkraczali do izby umyślnie w tym celu zachowanej. Przez okna otwarte można było dojrzeć kilkunastu woźniców i robotników, popijających wino.

Młody mężczyzna, w szerokim czarnym kapeluszu na głowie i w t. zw. *houppelande*, t. j. w huście welnianej szarej na plecach, wszedł i usiadł przy stoliku narożnym.

Gospodarz, który sam z nadzwyczajną grzecznością przyszedł obsługiwać gościa, przyniósł w tej chwili butelkę *argenteuilu*. Po zdjęciu kapelusza ukazały się krótkie jasne włosy, twarz koścista i rybnie oczy sir Hugh'a Eltona, który popijając od czasu do czasu wino, siedział i czekał. Inni goście nie zwracali na niego uwagi.

Po upływie kwadransa weszło do oberży dwóch mężczyzn w takich samych płaszczach, ale oni udali się natychmiast do drugiego pokoju. Przechodząc mimo Eltona, jeden z przebyłych dał znak porozumiewający, Anglik zaś wstał spokojnie, wypił jeszcze szklankę wina i po chwili udał się za nimi.

Wszedłszy do pokoju osobnego, Hugh podał natychmiast rękę krępemu, silnie zbudowanemu mężczyźnie o typowym nosie prowansalskim i twarzy, na której odbijała się ruchliwość.

— Dzień dobry, obywatelu Grandmaison.

Człowiek, do którego słowa te były skierowane, należał do najbardziej wpływowych członków

Rady Pięciuset. Odpowiadając na to pozdrowienie, Grandmaison zapytał:

— Czy dziś będziemy mogli załatwić naszą sprawę, panie Elton?

— Mam nadzieję — odparł Anglik, który po wyjściu do tego pokoju stał się odrazu innym człowiekiem. W sposobie mówienia tkwiła zimna i bezwzględna powaga, nikt też nie domyśliłby się teraz tego pustaka, który z towarzyszami zabawy zwiedzał bale maskowe i restauracje pierwszorzędne.

Elton rzucił wzrokiem na towarzysza Grandmaison'a i rzekł sucho:

— Spodziewałem się, że z panem samym będę miał dzisiaj rozmowę.

— To mój przyjaciel dobry, za którego ręczę — odparł Grandmaison — i on mocno jest zainteresowany w przedsięwzięciu naszym.

— Ręczysz pan zatem?

— Ręczę, jak za siebie samego — zaśmiał się członek Rady Pięciuset — możemy mówić spokojnie.

Pomimo tego zapewnienia, Elton raz jeszcze przyjrzał się uważnie nieznajomemu, który zatrzymał na głowie kaptur od *houppelandu*, dzięki czemu Elton mógł widzieć część tylko jego twarzy zmęczonej i oczy przebiegłe.

— Zaczniemy przeto — powtórzył Grandmaison. — Z tego, co mi donosił minister z Londynu, widzę, że upoważniono pana do oznaczenia kwoty, jaka będzie potrzebną do uregulowania sprawy naszej, sprawa ta zaś polega na tem, ażeby opirnię publiczną przygotować odpowiednio do zmiany ustawy z roku III-go. Niełatwe to zadanie!

— Bądź pan spokojny, Anglia jest bogatą — przerwał Elton — tyle już pieniędzy wydaliśmy na książąt francuskich, że chociażby tylko dlatego, ażeby ratować wyłożone kapitały, musimy doprowadzić rzecz całą szczęśliwie do końca.

Deputowany Grandmansion zaśmiał się przymuszenie.

— Więc pan, szanowny panie Elton, całą tę sprawę uważasz tylko jako interes zwykły?

— Czemże ona jest innem?

— Dla pana niewątpliwie, ale nie dla nas. My pragniemy tylko dopomódz, ażeby król nasz, z Bożej łaski Ludwik XVIII odzyskał swój tron prawowity, że zaś dyrektoryat najwidoczniej stacza się ku przepaści...

Elton wzruszył ramionami.

— Wszystko to prawda, ale do tego potrzeba pieniędzy. Zamachu stanu niepodobna dokonać bez pieniędzy, wy zaś ich nie macie!

— Panie Elton!

— Niech mi pan nie przerywa! Wiem doskonale, że brak wam złota, nie macie go nawet tyle, ażeby bodaj jeden korpus wojska wystawić i bodaj jeden okręt uzbroić.

Grandmansion gotów był już wybuchnąć, ale towarzysząc jego położył przyjacielowi rękę na ramieniu.

— Pozwól wypowiedzieć wszystko panu Eltonowi, mnie się bowiem zdaje, iż on ma rację.

Hugh spojrział na mówiącego i zdawało się, iż ten się uśmiecha złośliwie. W głosie też czuł Elton epikurejczyka i sarkastę zarazem, przybrał zatem

ton równie ironiczny i uklonił się na pozór poważnie.

— Na tym punkcie zgadzamy się przeto — rzekł. — Dyrektoryat nie może się już długo utrzymać, partya zaś, życząca sobie restytucyi królestwa we Francyi, dość już długo pracowała nad przygotowaniem sobie gruntu odpowiedniego. W tej chwili zależy na tem, ażeby przeprowadzić rewizyę konstytucyi lub też zawiesić ją zupełnie

Elton wyjął z teczki kilka listów i mówił dalej

— Ministeryum angielskie przysłało mi wykaz tych osób, do których zwrócić się nam należy w Paryżu. Osoby zaś te dzielą się na trzy grupy: deputowanych, generałów i dziennikarzy.

— Zaczniemy od tych ostatnich.

— Dlaczego właśnie od nich mielibyśmy zacząć? — wtrącił z zaciekawieniem nieznajomy.

— Są oni zawsze najkosztowniejsi.

— Generała zatem taksujesz pan niżej?

— Ależ to naturalne! Generałowie zawsze mają więcej poczucia taktu i nie są tak bezczelni w żądaniach swoich.

Nieznajomy zaśmiał się szczerze, Grandmaison zaś, trąc sobie czło, rzekł również z uśmiechem:

— Zdaje się, iż jesteś pan znawcą ludzi.

— Pochlebiam sobie, że znam się trochę. Otóż ministeryum nadesłało mi wykaz.

Elton zaczął czytać głośno tytuły pism rojalistycznych w stolicy Francyi.

„Le Menteur“ 60,000 franków, „Journal des

Incroyables“ 20,000 franków, „Le The“ 18,000 franków, „Le Miroir“ 12,000 franków.

Grandmaison i jego towarzysz głową dawali znaki zgody swojej na te pozycye, kiedy jednakże Elton przeczytał „12,000 franków dla pisma „Le Miroir“, Grandmaison zaprzeczył:

— Temu redaktorowi trzeba dać więcej.

— Dlaczego?

— Utrzymuje on tancerkę, która go kosztuje dużo pieniędzy.

— Niechaj więc będzie 20,000 — rzekł Elton, czyniąc olówkiem znak na papierze. — Teraz chodzi nam jeszcze o pisma republikańskie, które pod pozorem nieprzyjaźni dla nas powinny wygrzebywać najbardziej rzucające się w oczy szaleństwa z czasów Konwentu, ażeby ludność odstraszyć od rzeczypospolitej.

— Środek to konieczny — przyznał Grandmaison.

— Mam tu dla nich sumę poważną, 70—80,000 franków. Zaraz potem idzie deputowany Vadier, główny kontroler finansów.

— Tego trudno będzie skaptować — rzekł nieznajomy poważnie — przeszłość jego chlubna, cieśszy się też opinią człowieka uczciwego i sumiennego...

— Hm, hm! chlubna przeszłość, uczciwość, sumiennność — powtarzał Anglik, jak gdyby rozważał i oceniał przymioty takie na pieniądze, wreszcie zawołał:

— Przeznaczamy mu zatem 80,000 franków! Nie ma rady, Vadier ma wpływ wielki.

— A cóż pan myślisz jeszcze o piwowarze Santerre? Nazywają go słusznie „Mirabeau przedmieść paryzkich.“

Elton się skrzywił.

— Ten nie wart dziś ani jednego sou, pieniądze byłyby tu stracone, przejdźmy lepiej do generalów, to ważniejsze.

Elton obejrzał się na wszystkie strony i zniżył głos, gdy mówił dalej:

— Pichegru kosztował nas już dotąd 300,000 franków i pomimo to jeszcze nam się nie powiodło. Co prawda, od tego czasu stanieli generalowie rzeczypospolitej.

— Panie! — krzyknął nieznajomy gniewnie i niecierpliwie — zdaje mi się, że błędne wykazy posiada urząd dla spraw zagranicznych w Londynie!

Elton nie stracił krwi zimnej, uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Mogę pana zapewnić, że dane nasze są jak najbardziej ściśle. Od czasu Marata, który pierwszy wziął pieniądze angielskie, aż do 18 Fructidora, kiedy Barras...

— Barras?! Co pan wieś o Barrasie! — krzyknął nieznajomy, uderzając pięścią o stół, oczy zaś jego błyszczały. Kaptur od płaszcza przekręcił się, ale on śpiesznie znów nasunął go na głowę.

Uwagi Eltona nie uszło to poruszenie, nagle też zrodziło się w nim podejrzenie tak silne, że nie mógł się go już pozbyć do końca. Pomimo to, rzekł napozór obojętnie:

— Nie odbiegajmy od przedmiotu, a w tej

chwili chodzi nam tylko o to, ażebyśmy odpowiednio otaksowali generałów rzeczypośpolitej.

— Dziwny masz pan sposób wyrażania się, panie Elton!

— Sposób to jedynie właściwy; wszystko, co chciał uczynić Pichegru, uczynią napewno Joubert, Brune, Moreau i inni. Szczególniej Moreau jest nam potrzebny, na niego też głównie w tej chwili zwrócone mamy oczy.

— A Bonaparte?—zapytał Grandmaison.

Anglik wzruszył ramionami lekceważąco.

— Bonaparte tak jest osaczony przez naszą flotę, że rad będzie, gdy wyjdzie cało z tej przeprawy—rzekł zimno—od trzech miesięcy nie otrzymano żadnej wiadomości, co się stało z nim i z armią, która miała pójść do Syrii. Wasza flota zniweczona została pod Abukirem i wątpię, czy bodaj dziesięciu ludzi powróci do Francyi z tej wyprawy egipskiej...

— Czy takie jest pańskie zdanie?—zapytał nieznajomy zimno.

— Możesz pan być tego pewnym! Bonapartego zatem nie mamy wcale co brać w rachubę, natomiast głównie zająć się nam potrzeba generałem Moreau.

Grandmaison lekko skinął głową nieznajomemu i rzekł:

— To samo mówiła niedawno pani de Contades.

Zwracając się zaś do Anglika, zapytał:

— Na jaką sumę oceniasz pan Moreau'a?

— Przeznaczamy mu pół miliona renty rocznej,

tytuł książęcy i zamek w Tourraine, to znaczy mniej więcej to samo, co otrzymał Monck.

Nieznajomy zaśmiał się ironicznie.

— Jesteś pan bardzo wspaniałomyślny i hojny, wszelako zdaje mi się, że zwycięzcę z pod Rasztadtu i Ettlingen trzebaby wyżej trochę ocenić.

Elton zerwał się nagle i zmierzył gniewnymi oczyma mówiącego, z całą też wyniosłością, właściwą Anglikom, zawołał:

— Mój panie! Czy pan sobie wyobrażasz, że Anglia nie ceni więcej jednego kapitana fregaty, aniżeli wszystkich razem wziętych generałów rzeczypo-
spolitej?

Nieznajomy wybuchnął śmiechem, skrzyżował ręce na piersiach i wyzywająco przyglądał się Anglikowi.

— Brawo! znakomicie trafiliśmy tu do pana z Grandmaisonem! Ministrowi angielskiemu należy się najwyższe uznanie, że panu właśnie powierzył tę misję.

— Dziękuję panu—odrzekł Elton—jednakże lepiej będzie, gdy powrócimy do naszego interesu, aniżeli bawićbyśmy się mieli w komplementy. Otóż Moreau główną odegra rolę przy rojalistycznym zamachu stanu, Anglia zaś będzie popierała ten zamach. Najpopularniejszą osobistością w armii jest właśnie ten generał.

— Trzebaby panu wejść w stosunki z panią de Contades—rzekł Grandmaison—Moreau bowiem częstym bywa u niej gościem.

— Nie lubię pracować pospół z kobietami — odparł Elton.

— Dobrze to może w Anglii, ale nie u nas, we Francyi bowiem nic się da przeprowadzić bez pomocy kobiecej.

Elton zastanowił się chwilę, przeszedł do okna i patrzył bezmyślnie przed siebie. Od samego początku pobytu swojego w Paryżu, na każdym kroku spotykał się z nazwiskiem tej kobiety, słyszał także o niej już w Londynie, jako nieprzejednanej przeciwniczce rzeczypospolitej i jako zawziętej, na śmierć i życie, nieprzyjaciółce Bonapartego. Wpływ tej kobiety widoczny był wszędzie; w jej domu zbiegały się wszystkie nici machinacyi rojalistów, ona utrzymywała stosunki ciągle z tymi, którzy zmierzali do obalenia Dyrektoryatu; ona popierała Pichegru'ego, a do oddanych sobie przyjaciół zaliczała generałów Moreau'a i Brune'a.

O pani de Contades słyszał Elton zdania najsprzeczniejsze, jedni przedstawiali ją jako demona, jako kobietę zimną, nieprzystępną i wygórowanie ambitną; inni mówili, że jest oną największą i najbardziej wyrafinowaną kokietką ze wszystkich paryżanek, nikt jednakże nie przytoczył dotąd ani jednego faktu, któryby mógł rzucić cień na dobrą sławę młodej i pięknej wdowy. Elton widział panią de Contades owego poranku po balu maskowym i wtedy już postanowił sobie zapoznać się bliżej z tą kobietą, czuł bowiem, że do przeprowadzenia jego planów może to być czynnik pierwszorzędny. Nie musiałby być wszakże Anglikiem sir Elton Hugh, gdyby wzorem współrodaków swoich miał wogóle nie lekceważyć kobiet, zwłaszcza w sprawach politycznych.

Nieznajomy, który uważnie przyglądał się Eltonowi, w chwili tych rozmyślań wstał i rzekł niedbale:

— Czy to już cały wykaz pański?

— Jeszcze nie cały, mam tu jeszcze 60,000 franków dla różnych oficerów 17-tej dywizyi, 20,000 franków dla komendanta inwalidów, 80,000 franków dla kwatermistrza z Gruelle, 200,000 franków dla ministra Merlina w Douay, następnie spisano mi tu sumy, przeznaczone dla Dyrektoryatu.

Elton zaczął szukać w papierach swoich i mówił:

— Dla Barrasa...

Nie dokończył, w tej chwili bowiem nieznajomy tak silnie uderzył pięścią w stół, że papiery wszystkie spadły na ziemię. Grandmaison zbladł, Anglik zaś zdumiony podniósł oczy w górę.

— Panie Elton! — zawołał nieznajomy, a głos jego brzmiał dziwnie—wykaz pański staje się niemożliwie wstrętnym!

Anglik nie poruszył się nawet i odparł zimno:

— Mój panie! Dlaczegoż to miałbym dyrektora Barrasa traktować inaczej i lepiej, aniżeli dziennikarzy i generałów?

Nieznajomy chciał coś odpowiedzieć porywczo, ale Grandmaison szepnął mu coś do ucha, co tak go uspokoiło, iż rzekł tylko z dobroduszną ironią:

— Przekreśl pan tę pozycję! Widzę, że do pańskiego stylu trzeba się zwolna przyzwyczajać, a zresztą, główna sprawa już załatwiona, dostatecznie już jesteśmy poinformowani o zamiarach ministerium angielskiego. Bywaj pan zdrów zatem, mam

nadzieję, że całe przedsięwzięcie powiedzie się szczęśliwie.

To mówiąc, nieznajomy uczynił ruch niedbały ręką na pożegnanie i wyszedł, w chodzie zaś jego znać było pana wielkiego, który żałuje, iż dał się unieść na chwilę.

Elton nie odpowiedział nic na razie, gdy jednakże drzwi się zamknęły, zwrócił się do Grandmaisona:

— To był dyrektor Barras.

Grandmaison wzruszył ramionami:

— Jeżeli wiedziałeś pan o tem, to dlaczego nazwisko jego wymieniałeś z listy?

— Ah! chciałem się tylko przekonać, jak się zachowa pierwszy dostojnik rzeczypospolitej w takim wypadku.

Zaśmiał się Anglik, a w śmiechu tym krótkim, urywanym, był zgrzyt, niemiłe drażniący uszy.

Teraz nawet spokojny zazwyczaj Grandmaison wyszedł z równowagi, podniesionym też głosem przemówił:

— Radziłbym panu na przyszłość zachowywać więcej ostrożności. Mogłeś się pan przekonać teraz, jak daleko sięgają nasze stosunki. Nawet władcy szukają porozumienia z nami i dlatego właśnie...

W tej chwili zapukano do drzwi dwukrotnie, Grandmaison zaś wiedział, że jest to znak, jaki zwykł dawać właściciel oberży w chwili, gdy zbyt wiele osób nagromadziło się w izbie przyległej. Elton i Grandmaison powstali natychmiast, pierwszy jednak niepostrzeżenie schylił się i podniósł kawałek papie-

ru, jaki wypadł przed chwilą z kieszeni Barrasa. Wśród tłoczących się w izbie gości przeszli obydwoj do sieni, gdzie Grandmaison jeszcze raz zatrzymał Anglika i szepnął mu do ucha:

— Niezmierznie to dla nas ważne, że Barras sprzyja zamysłom, ja zaś gwarantuję panu, że dwie piąte kolegów moich z Rady Pięciuset jest za odrestaurowaniem tronu, ozdobionego w słynne lilie. A teraz wytłómacz mi pan jedno tylko. Że Anglia nie zadawałaby sobie tego trudu z miłości dla nas i dla Burbonów, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, ile więc i w jaki sposób będziemy musieli za tę przysługę zapłacić?

Oczy Anglika spotkały się ze wzrokiem Grandmaisona; Elton rzekł więc sucho:

— To już sprawa, którą załatwić będzie można tylko z samym pretendentem; pojmujesz pan chyba, że ministerjum angielskie nie może powiedzieć głośno, ile za tę przysługę będzie żądało, gdyby bowiem dziś już odsoniło swoje zamiary, to wtedy cała opinia we Francyi zwróciłaby się przeciwko Burbonom. W każdym razie chodzić tu będzie o odstąpienie kawałka ziemi francuskiej.

Grandmaison skinął głową, podał rękę Eltonowi i rzekł, wychodząc przez bramę na ulicę:

— Następnym razem spotkamy się zatem u Sieyès'a!

Anglik przez chwilę patrzył z uśmiechem na oddalającego się deputowanego i mruknął przez zęby:

— Lokaje! republikanie! i ci ludzie oburzają się jeszcze, gdy ich szacujemy na pieniądze!

Nie oddalił się jednakże Anglik, przeciwnie, zawrócił do hotelu i podszedł do właściciela oberży, siedzącego za bufetem; razem z nim powrócił znów do sieni.

— No i cóż, panie Godard, jakże idą interesy?— zapytał Elton przyjacielsko.

— Ah mój Boże! źle bardzo, bo i cóż człowiek zarobi od tych pijaków nadrzecznych!

— Lepsze zatem było dawne rzemiosło — rzekł Elton, który wiedział, iż Godard za czasów Ludwika XVIII-go był fehmistrzem u dworu — sądzą jednak, iż mógłbyś pan znów jakieś poboczne znaleźć zajęcie, które przyniosłoby niezłe dochody.

— *Parbleau!* Przydałoby się to bardzo—zawołał gospodarz i uważnie spojrzał na Anglika, nie rozumiejąc, do czego zmierzają jego słowa, Elton zaś rzekł po chwili:

— Czy pan ma jeszcze ten dom przy Quai de Gesvres?

Gospodarz przeląkł się i rzekł ze strachem:

— Więc i to pan wie, że posiadam ten dom, leżący nad rzeką?

— Mój panie Godard, wiem ja coś więcej o panu—zaśmiał się Elton—bądź pan jednakże spokojny, ci, którzy w tym domu pomarli, nie otworzą ust swych więcej, ani ja też nie otworzę ich nigdy!

Z ironicznym uśmiechem na ustach pożegnał się z gospodarzem, który z niezwykłą pokorą kłaniał się odchodzącemu gościowi.

ROZDZIAŁ III.

Kobieta z czasów Dyrektoryatu.

Przed pałacem pani de Contades, przy Rue de Rennes, zatrzymał się powóz, wysiadło zaś z niego dwóch mężczyzn.

— Mój drogi—rzekł Hektor de Laringuet—życzyłeś sobie, ażebym cię przedstawił pani de Contades, zanim przeto wejdziemy do jej mieszkania, zechciej sobie uprzytomnić, że to nie jest jakaś *Circe* polityczna, ale że posiada ona również inne przymioty boskie i że należą jej się kadzidel.

Anglik skinął głową i rzekł poważnie:

— Bądź pan pewnym, że owa *Circe* nie wpłynie na zmianę moich przekonań, na wszystko jestem przygotowany.

Minęli przedsionek, wyłożony żółtym marmurem, i wkroczyli na schody, wiodące do apartamentów, położonych na górze; w korytarzu napotykali różne statuetki, naśladownictwa antyków i medaliony, zdobiące plafony. Służący, który ich poprzedzał, otworzył drzwi na rozcież i wymienił nazwiska go-

ści, nie pytając się nawet, czy je usłyszy ktokolwiek.

Lariguët i Elton weszli do rześście oświetlonej sali, w stylu etruskim, i znaleźli się w towarzystwie pań dystygowanych i mężczyzn, którzy natychmiast zwrócili oczy na nowoprzybyłych.

— Ah! pan de Lariguët! — wykrzyknęła pani domu i powstała z kozety, zbliżając się do gościa.

Hektor skłonił się nisko i rzekł:

— Pozwól pani, że przedstawię ci cudzoziemca, który przybył jedynie po to do Paryża, ażeby poznać wszelkie gwiazdy nasze, a gdy już żadna z gwiazd nie jest mu obcą, postanowił zbliżyć się do słońca i jemu oddać hołd przynależny.

Zaśmiała się pani de Contades.

— Nie przemawiasz pan wcale jak republikańnin! Największe słońce musiałoby zgasnąć, gdyby ośmieliło się równać z ognikami błędnymi rzecypospolitej—a zwracając się do Anglika dokończyła:—Witam pana w domu moim!

Pani de Contades wyrzekła jeszcze kilka komplementów, poczem znów zwróciła się do gości.

Elton cofnął się dyskretnie i pilnie przypatrywał gospodyni domu. Estella de Contades wzrost miała niski, chudą była nawet, ale wyrafinowana toaleta i dystynkcyja czyniły swoje i nadawały jej wygląd osoby niepośledniej. Ubrana w suknię z różowego jedwabiu, mniej wydekoltowaną, aniżeli to naówczas było w zwyczaju, odsłaniała jednakże prześliczne ramiona i biust, mogące za wzór służyć dla rzeźbiarza; włosy ciemne, ale nie czarne, spiął dyadem w stylu rzymskim, oczy zaś wielkie i czarne wyzierały z te-

go oblicza bladego; rząd zębów białych świecił zdaleka, ręce też białością swoją odznaczały się jak alabaster, wszystko to jednakże, nawet nóżka dziwnie wązka i oznaczająca rasę ulepszoną, niknęło wobec głosu, zdolnego do takich odcieni, które o każdej porze znajdują odpowiedni wyraz. W tej kobiecie zdawały się jednoczyć myty greckie, było coś ze wschodu i coś z Kamei, posiadała przedziwną siłę przyciągającą wobec wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli sposobność zbliżyć się do niej. Na mężczyzn oddziaływała więcej jeszcze, aniżeli na kobiety, ci mężczyźni też należeli do koryfeuszów wielkiego świata za czasów Dyrektoryatu. A koryfeuszami byli wtedy nie ci, którzy stali u władzy, ale ci właśnie, którzy tworzyli opozycję i dążyli do stworzenia innej formy rządu. Stałymi gośćmi pani de Contades byli np. Abbé Morellet, wiecznie niezadowolony, a dążący do piękna autor „Irokezów“, markiz de Champfleury, uważający historię całego świata za skończoną z chwilą śmierci Ludwika XIV-go, i już w „Cydzie“ Corneille'a dopatrujący się jadu rewolucyjnego, i pani Staël. Słynna ta autorka „Wpływu namiętności na życie narodów“ podówczas była już niewiastą otyłą, o cerze brunatnej i oczach, które ustawicznie łaknęły komplementów. U pani de Contades bywał również Siey'és, o fizyognomii oschłego uczonego niemieckiego, oczach zamglonych i głosie przytłumionym; wie on, kiedy zamilknąć, i to właśnie tłómaczy wpływ, jaki posiadał w tem towarzystwie.

O czemże nie mówiono w tym salonie! O polityce zarówno, jak i o modach, a wszyscy cisnęli się wtedy, ażeby z ust gospodyni domu posłyszeć

uwagi bądź złośliwe, bądź dosadne, a zawsze skierowane przeciwko Dyrektoryatowi.

Hektor nie mieszał się do rozmowy, dla niego bowiem zupełnie obojętną było rzeczą, czy na murach domu przyklejano karteczki niebieskie, czy też czerwone, polityka obojętną mu była zupełnie, dla niego bowiem tylko pani de Contades, jako kobieta prawdziwie piękna i wyższym obdarzona umysłem, miała jakieśkolwiek znaczenie; on ją czcił i w tej atmosferze czuł się ożywionym, ona była dla niego wiosną, która nowe soki wlewa w zawiędłe krzewy zimowe. Languet wiedział, że pani de Contades dla wszystkich jest równą, nie przypuszczał też nigdy, ażeby mógł na jakieś specjalne zasłużyć u niej względy, a jednak patrzył w nią zawsze, jak w obraz, jak w tęczę.

Widząc, że gospodyni domu nie zwraca na niego szczególniejszej uwagi, rzekł obojętnie do sąsiada:

— Mówią, że w tym roku uda nam się Corso w Longchamps, podobno wielu oficerów ma wziąć w niem udział.

Do rozmowy wtrąciła się młoda kobieta, siedząca tuż obok pani domu:

— Co do mnie, najwięcej cieszy mnie walka kwiatowa, i nie wiem, w jaki kostyum ubrać się na tę uroczystość.

— Ach! mój Boże! — zawołała pani de Contades — wybór nie jest taki trudny, byle tylko nie ubrać się w białą suknię, to każdy inny kolor będzie stosowny; na białej materyi zostaje krew, zwłaszcza w naszych czasach,

— O krew tem łatwiej—wtrącił ktoś z boku — że dzisiaj na Corso jadą nawet rzeźnicy i kupcy korzenni.

Pani de Contades wtrąciła żywo:

— Dzisiaj nawet pani Leclerc znajdzie się na Corso, przecież jej mąż był do niedawna oberżystą, a dziś... dziś jest pono generałem...

Zaśmiali się wszyscy, Hektor zaś dodał:

— Już to wogóle w rodzinie Bonapartów jest pociąg do szynku; obywatel Lucyan ma także za żonę córkę oberżysty, a ludzie powiadają, że dlatego tylko się ożenił, iż nie mógł inaczej spłacić długu zaległego w restauracji.

Cale towarzystwo wybuchnęło śmiechem, pani domu zaś ulubieńcowi swojemu rzuciła słodko:

— Spodziewam się ujrzeć pana w Long-champs.

— Niewątpliwie tam będę, chcę zaprezentować pani moje nowe „bockeï“ Niech się schowa nawet Apollo ze swoim wozem ognistym wobec mojego zaprzęgu -- i dodał smutnie napozór: — a jednak nie znajdę w dzisiejszych czasach Homera, któryby opiewał ten wielki wypadek.

— Może wystarczy panu moje podziwienie? — szepnęła pani de Contades i w tej chwili zwróciła się do pani de Staël:

— Czy nie wiadomo pani, kiedy ukończą się próby z Arnaulta „Wenecyan“? Podobno sztukę tę mają przedstawić dopiero w październiku?

— Słyszałam, że aktorzy są ogromnie zmęczeni i że do tej pory odbyli już przeszło trzydzieści prób.

— Powiadają, że Barras żywo jest zainteresowany tą sztuką?

W tej chwili wtrącił się do rozmowy Elton:

— Bardzo to być może, o ile bowiem mnie wiadomo, sztuka Arnaulta ma za tło czasy Rzeczypospolitej upadającej.

Wszyscy spojrzeli na Anglika, który po raz pierwszy w ciągu tego wieczoru otworzył usta; nieznano go, więc też nikt nie śmiał wybuchnąć śmiechem, przygryzano sobie wargi i uważnie patrzano na człowieka, który tak zgrabnie się odezwał i tak bardzo w porę. Elton nie zwracał uwagi na te spojrzenia i tylko wpatrzył się w panią de Contades, ona zaś zrozumiała odrazu, że ten człowiek jedynie do niej wystosował to zdanie i że jedynie z nią chciałby się bliżej porozumieć; nie dała jednakże uczuć Eltonowi i Hektorowi, że pojmuje intencję Anglika.

— Arnault... hm, hm!... Arnault... — wtrącił markiz de Champfleury — niegdyś był to człowiek zasad.

— Istotnie, tak było niegdyś, ale od roku 97-go całą wiedzę swoją wysila na opiewanie bohaterów kampanii włoskiej.

— Do pewnego stopnia ma rację — rzekł Hektor poważnie — pod Arcole bowiem oręż francuski wywalczył sobie wiekopomną sławę; przyjaciel mój D'Escamps ciężko wtedy był ranny i dużo opowiadał mi o tej przeprawie wojennej.

Przy wymienieniu tego nazwiska pani de Contades wzdygnęła się lekko, oczy jej się zaćmiły, ale trwało to krótko, przeszło jak chmurka mała i wzru-

szenie swoje wprawna kobieta pokryła krótkiem zapytaniem:

— O kim to była mowa?

— O przyjacielu moim Gastonie D'Escamps. Znakomity to był chłopiec; bił się pod Arcole, a później zginął w Egipcie—odrzekł Hektor i dokończył:— nietylko, że pogodził się z Rzecząpospolitą, ale co więcej, oddał się cały na jej usługi.

— Nie mówmy więcej o człowieku, który pogodził się z Rzecząpospolitą — zaśmiała się gospodyni domu — dziś takie nastały czasy, że patriotą jest ten, kto okradł kasę królewską, a zbawcą narodu człowiek, przyczyniający się do zaludnienia więzień i gromadzenia trupów na cmentarzu. Cóż dziwnego, że w tych warunkach rozbicie jakiejś garści wojsk sardyńskich i austriackich uważane jest za bohaterstwo!

— Wszystko to prawda—wtrącił Sieyès, w którego głosie znać było sarkazm złośliwy; — przyzna mi jednakże pani, że nie łatwo zatamować wodospad, dla którego sami zbudowaliśmy łożysko.

— Każdy potok ma swoje źródło i tam trzeba rozpoczynać pracę, a wtedy można zatamować bieg największej nawet rzeki — rzekł Elton, wolno i dobitnie akcentując każdy wyraz.

— W tym wypadku nawet rozpoczęcie pracy u źródła nie było rzeczą łatwą — odparł Sieyès z uśmiechem — ale pani de Contades uważnie spojrziała na Anglika i porozumiała się z nim oczyma.

Gospodyni domu zadowoloną też się czuła, gdy salon zwolna zaczął się wypróżniać i gdy z wdzię-

kiem, sobie tylko właściwym, a wiele mówiącym, zegnęła po kolei panie i mężczyzn.

Wiktor pożegnał się ostatni, w salonie też nie pozostał nikt więcej, oprócz Eltona Hugh.

Pani de Contades, spostrzegłszy go stojącego spokojnie przy stoliku w rogu salonu, zmierzyła Anglika wzrokiem i rzekła bez wahania:

— Przybyłeś pan do Paryża jako wysłannik ministerium londyńskiego, jeżeli się nie mylę?...

— Przybyłem tylko z rozkazu hrabiego Artois — i nie czekając, jakie wrażenie zrobią jego słowa, Elton zapytał obcesowo: — Czy nie przypuszczasz pani, że ta walka na śmierć i życie, jaką prowadzi ustawicznie Rzeczpospolita, zmęczyła już Francuzów i że obowiązkiem ludzkości byłoby kres jej położyć?

Estella de Contades uśmiechnęła się znacząco, wskazując zaś fotel gościowi, sama rzuciła się na krzesło bujane.

— Nikt może nie pragnąłby tak szczerze skrócenia tej walki, jak całe grono osób, które widziałeś pan przed chwilą, ale przedewszystkiem muszę dokładnie wiedzieć, z kim mówię. Zasada moją jest informować się naprzód dobrze o ludziach, z którymi mam cośkolwiek mieć do czynienia?

Elton, nie tracąc wcale krwi zimnej, odparł wesóło:

— Ja, szanowna pani, jestem sobie takim indywiduum, które więcej posiada w kieszeni wskazówek, doręczonych mu przez Pitta, aniżeli wszyscy razem ambasadorowie Anglii na lądzie stałym. Możesz mi przeto pani zaufać! Od początku rewolucyi wytrwałem w Paryżu, w dniu 10-tym sierpnia wy-

szedłem z Tuileryj i przebrany za czeladnika piekarskiego, mieszkalem przy Rue St. Honoré, na wprost mieszkania Robespierre'a. Pomimo to bawilem się znakomicie, przyznam się bowiem pani, że takiego gabinetu osobiwości nie ma nigdzie, jak tu u was we Francyi, i bardzo żałuję, iż cała ta tragikomedyja dobiega już do końca.

Pani Estella patrzyła na niego badawczo, człowiek ten zaś nie wydawał jej się bynajmniej sympatycznym, wszelako przyznawała, że rozmowa z nim jest interesującą.

— Jeżeli tak jest, jak pan mówisz, to znaczy, że wiesz i znasz wszystko.

— Znam nawet to, co pani dotąd uczyniłaś — śmiał się Elton — powiedział mi to zarówno minister mój, jak i sam hrabia Artois.

Elton wstał i uklonił się poważnie przed panią Contades.

— Muszę wyznać, że hrabia wyrażał się tak pochlebnie o pani, jak o nikim innym.

— Czy uczynił tak, jak mu radziłam? — spytała.

— Wyląduje on w Tréport z chwilą, gdy w Paryżu powzięta zostanie uchwała przywołania znów króla na tron francuski. Ku temu potrzeba jednakże wypełnienia trzech warunków: po pierwsze zmiany konstytucyi, po drugie dyktatury któregośkolwiek generała i po trzecie postanowienia Rady pięciuset.

— Zupełnie tego samego jestem zdania.

— Początek zrobiłem bardzo dobry; Barras przyłącza się do nas.

— Ach! — wymknęło się przez usta pani de Contades, jako okrzyk zadowolenia.

Elton zaś mówił dalej:

— Od tej pory możesz się pani z nim wprost porozumiewać. Dyrektoryat tym sposobem posiada już klin, który niełatwo da się wydobyć.

Pani de Contades powstała żywo i wyciągając rękę do Anglika, rzekła z mocą:

— Zatem od tej pory jesteśmy sprzymierzeńcami!

— Na śmierć i życie — zawołał Elton, odpowiadając uściskiem ręki i kłaniając się niezgrabnie.

Długo mierzyli się wzrokiem, jak gdyby jedno drugie przeniknąć chciało zupełnie, wreszcie pierwsza przemówiła gospodyni domu:

— Czy przypuszczasz pan, że Francya dojrzała już o tyle, iż może powołać na tron Bourbonów?

— Aż nadto dojrzała!

— Zdaje mi się jednak, iż trzeba by się dobrze namyśleć, któremu z Bourbonów dać pierwszeństwo.

Anglik zmierzył przeciągle kobietę:

— Francuzi mają po uszy Rzeczypospolitej, jeżeli zaś udanie się planu mogłoby zawieść, to tylko dlatego, że Bourboni odznaczają się tchórzostwem.

— Nie Bourboni! — zawołała pani de Contades — ten ród aż za wiele miał zawsze odwagi, ale cały plan rozbić się może o tchórzostwo Anglii, która chciałaby wprowadzić, ażeby na czele Francyi stał człowiek ukoronowany, ale pomimo to boi się pojąć energicznie tych zamiarów.

Oczy pani de Contades błyszczały, gdy usiadłszy na wprost Eltona, mówiła dalej:

— Do tej pory wszelkie zamiary rojalistów obracały się wniwecz dlatego jedynie, że Wandę uważano za punkt, z którego wyjść powinno sprzyśnięcie; ale to nonsens! Paryż nie da sobie narzucić żadnych uwag i rozkazów z prowincyi! Dziś rozumiemy to dobrze, że człowiek, któryby chciał sięgnąć po koronę, musi żyć w Paryżu, musi się przebić przez armię, brać udział w zgromadzeniach i wyjść jako wybraniec narodu. Ludwik XVIII ty nie jest tego rodzaju człowiekiem, prędzej hrabia d'Artois!

Zamilkli oboje i ona zadumała się smutnie, wreszcie wstała, a wysuwając jedną nogę naprzód i ręką wywijając w powietrzu, zapytała pośpiesznie:

— Czy wie pan, co jest najgorszem w takich razach? Oto, że wielkich rzeczy chcemy dokonać, posługując się bardzo małymi ludźmi.

Elton zdumiony wstał z krzesła i zapytał obcesowo:

— Jeżeli Bourboni wszyscy są tak mali, że dla nich nie warto podejmować trudu, to racz mi pani powiedzieć, dla kogo czynisz wszystkie te starania?

Nastąpiła przykra dla obojga przerwa po tem zapytaniu i znać było, że jedna i druga strona badają się wzajemnie, wreszcie przemówiła pierwsza pani de Contades.

— Panie Elton, widzę, że jesteś pan człowiekiem, z którym można mówić otwarcie, powiedz mi zatem, czem jest Francya w chwili obecnej?

— Hm! jest to weksel płatny — lakonicznie, lecz poważnie odparł Hugh i w tej chwili dodał z uśmiechem: — my, t. j. Anglia, należność za weksel zapłacimy w tej chwili.

— Wszystkie armie Rzeczypospolitej są pobite, Moreau poniósł klęskę w Szwajcaryi, Macdonald nad Trebią, straciliśmy Holandję i Włochy, w Belgii panują rozruchy. W wewnętrznych stosunkach panuje niezgoda — i dyktoryat, nie wiedząc jak sobie radzić, gotów powrócić do czasów rewolucyi. Nie ma stronnictwa we Francyi, któreby go nie przeklinało, więc prędzej, czy później musi berło rządu wypaść z ręki. Jeżeli przeto kiedy, to teraz właśnie odpowiednia chwila dla Bourbonów, teraz, albo nigdy!

Mówiła to z takim ogniem, że nie zważała na włosy rozpuszczone i toaletę będącą w nieładzie, zmęczona też kończyła, znacząc ostro wyraz każdy:

— Chyba nie przypuszczasz pan, ażebym ciasnogłowych emigrantów, bawiących w Londynie, uważała za statystów, ani też hrabiego Artois za przyszelego Juliusza Cezara! Nie! szanowny panie, wiem, że człowiek prawdziwy w tem stronnictwie wyglądałby jak perła znaleziona w kałuży. Tym ludziom potrzeba ręki kierowniczej, a gdy zabraknie męczyzny, znajdzie się kobieta! Niechże ja będę tą kobietą, jak niegdyś pani de Pompadour, Chatauroux! Mam wolę silną i ta wola moja zawisnie nad losami Francyi, wszystko mi zaś jedno, jak ta poczwarka, która jeszcze nie rozwinęła się w motyla, będzie się nazywała, czy Artois, czy też inaczej!

Szybko przebiegać zaczęła salon, oczy rzucały

ognie, w tym chodzie, w tych ruchach i w tej postaci znać było dumę królowej, władczyni...

Zawsze spokojny i obojętny Elton, patrząc na ten wybuch, zdumiał się i nie wiedział, jak postąpić dalej, a w duchu mówił sobie, że to przecież niezwykła jest kobieta, nie taka, jakie spotykało się w salonach przeciętnych, i że tego rodzaju istoty niewieściej nie poznał do tej pory w życiu.

Przemógł się jednakże Elton i rzekł z uśmiechem:

— Pani! nie przypuszczaliśmy nigdy, my, oddzieleni od Francji kanałem, że jedynym człowiekiem stronnictwa nam sprzyjającego może być kobieta!

Roześmiała się pani de Contades:

— Wierza mi pan, że Francja przeznaczoną jest na to wśród ludów Europy, ażeby nią rządziła kobieta, Francuzi są do tego przyzwyczajeni i nie zrozumieliby nawet, gdyby miało być inaczej.

— Zapamiętam to sobie, a teraz wspólnymi siłami dążmy do jednego celu.

— Jeżeli więc mamy być sprzymierzeńcami, to w takim razie zażądam od pana dowodu chęci dobrych.

— Jestem na rozkazy.

— Przez kilka dni pisma zajęte były wyłącznie skandalem, jaki się przytrafił na chodniku przed hotelem Thelusson, kiedy czterech oficerów z 12-go pułku huzarów obraziło mnie przy wyjściu z balu.

— Znam tę historię, sam byłem świadkiem —

zawołał Elton i mitygując się dodał:—patrzyłem zdaleka, wypadkiem.

— Byłeś pan świadkiem? — zdumiona zapytała pani de Contades i przygryzając wargę, dodała zimno:

— Nie przywykłam żadnej obrazy puszczać płazem, a chociaż w kilka dni później pułk cały przysłał deputacyę z przeproszeniem, to jednak zemsta moja dosięgnie ich prędzej, czy później. Od pana wymagam, ażebyś mi do tego dopomógł.

— Poproszę panią tylko o nazwiska tych oficerów—odparł zimno.

— Nic łatwiejszego! zapisz pan sobie: Marbeuf, Gwido Lantéches, Jerzy Brineville i kapitan Duroc, wszyscy wielbiciele pani generałowej Bonaparte i wszyscy byli dawniej przydzieleni do armii Hoche'a.

Anglik zaśmiał się, ale śmiech ten dreszczem mógł przejąć każdego.

— Hoche dowodził pod Quiberon i takiego nazwiska Anglia nie tak prędko zapomni.

— Przyrzekłeś mi, panie...

— I przyrzeczeń moich zwykłem dotrzymywać! Nie miną dwa miesiące, a wszyscy ci panowie znikną z Paryża! Zażądam wszakże, ażebyś mi pani wskazała tych panów przy sposobności, ażebym mógł zapamiętać ich twarze.

— Jeżeli panu nazwiska same nie wystarczają, zrobię to chętnie—rzekła pani de Contades i badawczo spojrzała w twarz Anglika, nie rozumiejąc, jaki on cel może mieć, robiąc tę uwagę, ale rysy Anglika nie wyrażały nic podejrzanego, zaczął też mówić znów spokojnie:

— Pierwszem naszym zadaniem jest zjednanie sobie Rady Pięciuset; co do mnie, rozdzieliłem już odpowiednie role pomiędzy dziennikarzy i deputowanych, sprzyjających sprawie Bourbonów, że zaś Barrasa mamy za sobą, więc możemy działać otwarcie.

— Ja zaś napiszę do Moreau'a, powróci on z armią swoją w początkach września, zatrzymamy go przeto w Paryżu, ażeby wywarł nacisk na obrady; Moreau zada cios ostatni i stanowczy.

— I nie boisz się pani, ażeby którykolwiek z generałów nie stanął wpoprzek tak pięknie uplanowanej akcji?

— Czyż znalazłby się taki człowiek?

— Bonaparte!

Młoda kobieta zaśmiała się z lekceważeniem i rzekła:

— Żartujesz pan chyba! Bonaparte pogrzebany na wieki w Egipcie, wawrzyny zaś włoskie zwyciędły oddawna! Zresztą niewiadomo, czy Bonaparte jeszcze powróci do Francyi, gdyby zaś miał powrócić, to wtedy po fakcie dokonanym można go będzie zadowolić jakąś prefekturą lub posadą w sztabie.

— Zanim ten Bonaparte przybędzie — rzekł Elton z uśmiechem — radbym się stał pocieszycielem pięknej Józefiny, z Londynu bowiem przysłano mi do tej kobiety wiele listów polecających. Mówiono mi także w kołach oficerskich, że dobrze zabawić się można w Malmaison.

Pani de Contades powstała nagle i podała rękę Eltonowi na znak pożegnania, on ucałował pokornie tę rękę, ona zaś zaśmiała się złośliwie.

— Trzeba być bardziej dystyngowanym, ani-

żeli pan jesteś, ażeby pozyskać względy obywatelki Bonaparte, chociaż tego rodzaju kobiety, słomiane wdowy po rycerzach błędnych, łatwo pozwalają się pocieszać. Jeżeli też kiedy powróci obywatel Bonaparte, to tyle będzie miał roboty z wymiecieniem śmieci z własnego domu, że czasu mu nie wystarczy na zajmowanie się rzeczami rzeczypospolitej. I taki człowiek miałby nam przeszkodzić?

Jeszcze raz wyciągnęła rękę i rzekła:

— Do widzenia, sprzymierzeńcze!

Służba przeprowadziła gościa po przedsionkach i schodach, Eltonowi zaś utkwiała jedna myśl w głowie: „Czy ta kobieta kochała kiedy w życiu? I jakim musiał być człowiek, który zdobył jej miłość?”

ROZDZIAŁ IV.

Wspomnienia balu maskowego.

— Armandzie! najwierniejszy przyjacielu młodości, ty, który cnoty mojej strzegłeś na każdym kroku, ty, który znosiłeś ze mną cierpienia, ty jeden teraz zrozumiesz, że wielką sztukę pokazuje ten, kto umie zniknąć z oczu przyjaciela w porze właściwej. Zanim słońce się schowa za tę kratę, zniknij i zostaw mnie samego z rozpaczą moją.

Patetyczną tę przemowę skierował Hektor do Armanda w chwili, gdy stanęli przed bramą ogrodu Tuilleryi.

— Po cóż te komedye, Hektorze! — zawołał de Vitry — powiedz otwarcie, że masz *rendez-vous* i rzecz skończona.

— Jeżeli chcesz tego, to powiem, że o ósmej, pod arkadami, mam się spotkać z pewną piękną kobietą, i jeżeli chcesz czegoś więcej się dowiedzieć, to niech ci służy i ten szczegół, że ona będzie ubrana w szal biały ze złotą obwódką.

— Któż to jest, ta „ona“?

— Powiedziałbym ci chętnie, gdybym nie puszczal, że młodzież dzisiejsza nie zdobędzie się na szacunek nawet wobec takich kobiet.

— Masz mnie przeto za profana zupełnego? Obojętne mi to jest zresztą zupełnie, pamiętaj jednakże, kochany Hektorze, ażeby znów ta nowa znajomość nie kosztowała cię zbyt wiele. Przyjaciół twój i protektor Grosrenard nie będzie wiecznie udzielał kredytu!

— Łotr! — wykrzyknął Hektor i spochmurniał w tej chwili. — Onegdaj przysłał mi znów list z pogroźkami i zawiadomił, że wszystkie moje zobowiązania pieniężne gotów wykupić. Sprytna szelma!

— Właśnie to nie dowodzi jego sprytu — zaśmiał się Armand szczerze.

Zatrzymali się właśnie w tej chwili i przypatrywali się tłumom, uwijającym się po ogrodzie Tuileryj.

— Jakże to ładnie wygląda ten świat! — mruknął Hektor do siebie — a jednak czyby nie było lepiej wiedzieć, po co i dlaczego ci wszyscy ludzie się bawią, przechadzają, dlaczego ci mężczyźni czynią z siebie pośmiewisko, a kobiety wysilają cały umysł na stroje i gracyę?

W tej chwili wbiegło dwóch chłopców z gazetami wieczornymi.

Armand kupił po egzemplarzu, rzucił okiem i rzekł:

— Same nowości! Massena cofa się do Genewy; Anglicy wylądowali w Zelandyi, akcyę rzeczypospolitej dyabelnie spadły na dół.

— Jeżeli mnie kochasz, to oszczędź mi tych spraw politycznych.

Armand popatrzył zdumiony na przyjaciela i rzekł:

— Człowieku! Czyż ciebie już nic nie zajmuje, czy nie chciałbyś już żadnej odegrać roli w tej orgii, którą wytworzyła rewolucya, a prowadzi dalej rzeczpospolita?

— Wolność!... szczęście ludów!... wszystko to głupstwo! Ci mówcy, te dysputy filozoficzne, nie warte pocałunku ładnej kobiety i dobrej szklanki wina, dajmy więc spokój, zniknij z oczu moich, a ja pójdę na *rendez-vous*.

Hektor oddalił się śpiesznie.

Armand spojrział na zegarek i w tym samym czasie wielki zegar, umieszczony na palacu, wydzwaniać zaczął godzinę ósmą.

Pozornie spokojny i niewrażliwy Laringuet, czuł jednakże drżenie serca, gdy zbliżał się pod arkady ogrodu, i chociaż miał wprawę w tego rodzaju przygodach, to jednak postanowił sobie grać rolę zakochanego, tem więcej, że nie wiedział, kim była kobieta, która ukryta pod maską na balu, naznaczyła mu tu schadzkę.

Wolno kroczył Hektor i zakręcił pod arkady, ujrzał też wkrótce, że z pawilonu wyszła kobieta w białym szalu ze złotą obwódką. Wiecej niż średniego wzrostu, zgrabna, o włosach popielatych i oczach ciemnych a przenikliwych, kobieta ta płeć miała bardzo białą i ręce wypieszczone. Zanim Hektor zdawać począł sobie sprawę, już dama w szalu zbliżała się do niego i pierwsza zaczęła z nim rozmowę:

— Dziwisz się pan niezawodnie...

— Istotnie dziwię się: że tak późno poznaję równie piękne zjawisko.

Hektor roześmiał się wesoło, ona zaś nie zważając wcale na to, mówiła:

— Można się czasem rozczarować...

— Co do mnie, jestem oczarowany, nie rozczarowany.

— Przedewszystkiem jedno zapytanie. Czy pan jest oficerem?

— Nie! na moje szczęście.

Hektor postanowił kłamać, co się zmieści, mówił przeto dalej:

— Jestem urzędnikiem w ministeryum marynarki i krótko zabawię w Paryżu, wogóle bowiem jedynie życie na prowincyi odpowiada mojemu usposobieniu; tam spokój, szczęście i zadowolenie wewnętrzne.

Tajemnicza nieznajoma spojrzała na Hektora i śmiała się szczerze.

— Szczęście, spokój i zadowolenie! Ah, Boże! Takiego chciałam spotkać w życiu, taki bowiem tylko, jak pan, nie ma chyba ani odrobiny długów?

— Ja miałbym mieć długi, ja, który już o jedenastej godzinie wieczorem regularnie spać się kładę?

— Inaczej sobie pana wyobrażałam, ale teraz wierzę w szczerść słów pańskich i zaklęć miłych.

— Do śmierci wiernym ci pozostanę!—wykrzyknął Hektor.

Nieznajoma głośnym już teraz wybuchnęła śmiechem.

— Ha, ha! wiernym mi będziesz tak samo, jak Lucylli z opery, którą porzuciłeś po dwóch miesiącach i która kosztowała cię przeszło 4,000 franków! Wprawdzie pożyczyłeś sobie te pieniądze, no! ale przypuszczam, że nie masz chyba więcej długów!

Młody *incroyable* zdumiał się na te słowa i nie wiedział, co ma odpowiedzieć, gdy kobieta mówiła dalej:

— Ah, prawda, zapomniałam o długu u Le-cocque'a! Podobno temu handlarzowi win dłużnym pan jesteś 1,200 franków, a gdy jeszcze dodamy należność za meble 3,000 fr. i...

— Pani! — wykrzyknął Hektor zmieszany — zkąd u licha znasz pani tak dobrze moje stosunki domowe?

Młoda kobieta trzymała chustkę przy ustach, ażeby powstrzymać wybuchy śmiechu, bawiło ją zakłopotanie słynnego donżuana paryskiego.

— I pan nie wiesz jeszcze, kto mógł udzielić mi wszystkich informacyj co do osoby pana?

— Nie mogę się nawet domyśleć.

— Wszystko to wiem od ojca mojego—zaśmiała się tajemnicza kobieta.

— Od ojca?!... Kimże jest ten ojciec pani? — zapytał.

— Nic łatwiejszego, jak się z nim zapoznać, znajduje się on w bliskości.

— Nie teraz! nie w tej chwili — zaprotestował Hektor, mocno skrępowany i tracący grunt pod nogami—sądziłem tylko...

Przerwał, znaleźli się bowiem u końca arkad, przed drzwiami lokalu publicznego, urządzonego w tem miejscu.

Ona otworzyła drzwi, wiodące do wnętrza, na-przeciw zaś wyszedł mężczyzna lat około 60, o głowie łysej zupełnie, wąsie wymalowanym, nad miarę wysoki i z oczyma błyszczącemi. Hektor spojrzał i oniemiał, w mężczyźnie bowiem tym poznał człowieka, z którym ustawiczną prowadził wojnę, a który głównym był jego wierzycielem, słowem, spotkał się ze słynnym przedsiębiorcą, Maksymilianem Grosrenard.

Dyabeł nie śpi, jeżeli też gdzie króluje, to na balach maskowych, Hektor więc zdał sobie natychmiast sprawę, że tajemnicza nieznajoma z reduty, ta, która naznaczyła mu schadzkę pod arkadami, jest córką Grosrenarda.

Ojciec dziewczęcia ze złośliwym uśmiechem i przesadnie słodkim ukłonem zbliżył się natychmiast do Hektora.

— Pozwól sobie przedstawić, panie wice-hrabio, moją córkę, Alicyę.

Ona, hamując śmiech, złożyła ukłon głęboki, ale Hektor odzyskał już zupełnie panowanie nad sobą i postanowił zachować nawet w tak przykłej sytuacji pozory wielkiego pana.

— Nie byłem przygotowany na to, że znajdę tu pana—rzekł wyniośle.

— Najzupełniej wierzę temu—odparł Grosrenard i dodał:— tem dziwniejsza zaś jest pozycja, że ja tu jestem panem domu, a pan gościem.

— Od kiedyż to objął pan tę posesyę?

— Onegdaj się tu wprowadziłem, zadzierżawwszy ogród Menceaux i właśnie pracuję na tem, ażeby dla ściągnięcia publiki wystawić ogromną fontannę.

Hektor, jak gdyby nie słyszał tego tłómaczenia, zwrócił się do Alicyi.

— Daruje pani, zaszło tu nieporozumienie.

Grosrenard przerwał:

— Ależ panie wice-hrabio! Bądź pan zupełnie jak u siebie w domu—i dodał pośpiesznie, kierując te słowa do córki:

— Alicyo, proszę cię, zostaw nas samych. Mamy dużo z panem wice-hrabią do pomówienia i to bez świadków

Młode dziewczę ukloniło się zgrabnie i natychmiast oddaliło się przez drzwi boczne, rzucając przy odejściu spojrzenie na Hektora, w którym tyle było chęci dodania mu odwagi, że młody Laringuet spokojnie usiadł na krześle i z ironią na ustach mierzył wzrokiem gospodarza domu. Wiedział, że Grosrenard skorzysta ze sposobności, nie przypuszczał jednakże, ażeby rozmowa inny zupełnie przybrać miała obrót.

— Panie wice-hrabio—rzekł Grosrenard, wydobywając z biurka najspokojniej mały, czarno oprawny karnet — o ile wiem, masz pan dług w domu bankowym Laterrier et Com. na sumę 20 tysięcy franków.

— Nie przeczę — odparł Hektor zdumiony, nie wiedząc, do czego zmierzają te słowa.

Grosrenard ciągnął spokojnie:

— Lotaryuszowi Lemerrier winien pan jesteś 22,000 fr.

— Lichwiarz!—mruknął Hektor.

Grosrenard wzruszył ramionami.

— Mówmy spokojnie! Dalej winien pan jesteś Izidorowi Cohenowi 18,000 franków, bankierowi Solinger 42,000 fr., mnie 33,000 fr. mniejsze długi pomijam.

— Bardzo słusznie — zaśmiał się Hektor, nie stropiło to jednakże Grosrenarda, który mówił dalej spokojnie:

— Wszystkie weksle pańskie wykupiłem, wynoszą one razem 153,000 franków, bardzo poważna suma!

— Ah, mój Boże! — zawołał Hektor ze śmiechem—w ostatnich czasach wszystko tak drogie było u nas we Francyi, że dziwię się, iż zebrało się tak mało.

Grosrenard ściągnął brwi, gniewała go ta swoboda wice-hrabiego, pohamował się jednakże i rzekł, patrząc bystro w oczy Hektora:

— Tak przedstawiają się pańskie rachunki, a teraz pomówmy o możliwości ich uregulowania — rzekł spokojnie.

— Dobrze, mówmy—śmiał się Languet.

Grosrenard przybliżył się z krzesłem i zapytał:

— Czy podoba się panu córka moja?

— Pani! — Nie jesteś pan wart takiego dziecka—zawołał Hektor, śmiejąc się szczerze.

Grosrenard wstał i gotów był wybuchnąć, ale pohamował się w tej chwili.

— Jestem pewny, że niedługo inne pan o mnie będziesz miał zdanie.

— Wobec pańskiego postępowania dotychczasowego nie mam powodu mówić inaczej — zimno odparł Hektor; — racz pan sobie przypomnieć bodaj aresztowanie moje na balu, wśród najbardziej ożywionej zabawy.

— Obecnie jednak chciałbym zawrzeć z panem pokój i dlatego sprowadziłem pana do domu swego.

Zamilkli obydwaj, po chwili zaś odezwał się pierwszy Grosrenard, akcentując każdy wyraz dobitnie i nie spuszczać z oka swego gościa:

— A zatem winien mi pan jesteś 150,000 fr. W celu uregulowania tej sumy robię panu następującą propozycję: Ożeń się pan z moją córką, a ja, w chwili podpisania kontraktu, rozedrę wszystkie zobowiązania pańskie.

Hektor wstał nagle, cofnął się o kilka kroków wstecz, zmierzył Grosrenarda wzrokiem groźnym i zawołał:

— Jak pan śmiesz?

Potem ręce skrzyżował na piersi, uspokoił się i zimno mówił, śmiejąc się serdecznie:

— Nie przypuszczałem, chociaż wiedziałem o pańskim sprycie kupieckim, ażebyś się pan zdobył na tak dowcipną kombinację.

Grosrenard zauważył ton pogardliwy, ale puścił go mimo uszu.

— Mówmy spokojnie! Nie wiem, czy panu wiadomo, że majątek mój wynosi obecnie 3 miliony.

— Winszuję! niezła fortuna!

— Nie wystarczy mi jednakże taki majątek! Prawda, że jestem bogaty i że majątek mój jeszcze się powiększy wkrótce, w Paryżu bowiem w dzisiejszych czasach łatwo przychodzi się do pieniędzy, ale być bogatym, to jeszcze nie dosyć, mnie potrzeba czegoś więcej, nazwiska, któreby złotu dodało jedynie prawdziwego blasku, mnie potrzeba herbu, który, niech tam sobie mówią ludzie co chcą, jedynie wynosi człowieka ponad tłum, i dla doprowadzenia tych zamiarów do skutku wybrałem sobie właśnie pana.

— Dziękuję panu za to zaufanie. I czemu mam zawdzięczyć ten wybór?

— Ah! to bardzo proste! dostrzegłem u pana pewne zdolności i to mi wystarczy.

— Czy być może? pan, republikanin, przeciwnik królów, wróg szlachty, pan nam wyświadczasz tyle honoru, że w potomku starego rodu uznajesz pewne zdolności? To dziwne, to bardzo dziwne.

— Niechaj to sobie pan rozumie, jak się panu podoba, a ja wiem, że gdybyśmy poszli ręką w rękę i gdybym ja dał pieniądze, pan zaś swój umysł wyższy, swoje stosunki i wykształcenie, to doszlibyśmy bardzo daleko.

Hektor uważnie przyglądał się teraz Grosrenardowi i dostrzegł nie tylko przebiegłość, ale jeszcze tego ducha przedsiębiorczego, który zdumiewać może świat pomysłami iście szalonymi; Grosrenard zaś mówił:

— Gdybyśmy na przykład założyli jakąś gazetę

w Paryżu! Nigdy może nie było potrzeba pisma o szerszym zakresie i nie tak nędznie prowadzonego, jak „The“ lub „Courrier“. Format musiałby być olbrzymi, wszystkie wiadomości uwzględnione aż do najdrobniejszego szczegółu, wszystkie małżeństwa, skandale, życie towarzyskie, słowem — wszystko, co może zainteresować od poddasza aż do suteryn. Zawód naprawdę dla pana stosowny i gdybyś tylko chciał być redaktorem, pieniądze wyłożę chętnie.

— Dziękuję, nie czuję się na siłach do objęcia posady głównego redaktora.

— To znajdziemy coś innego, chociaż myśl to nie najgorsza; arystokratyczne nazwisko wyglądałoby bardzo dobrze na nagłówku pisma i mielibyśmy powodzenie wielkie.

— Kosztem mojej dobrej sławy — przerwał Hektor.

— Ah, Boże! nie trzeba być przesadnie drażliwym, każdy środek reklamy jest dobry i właściwy.

— Panie Grosrenard — rzekł Hektor spokojnie — dzięki córce, zyskałeś pan bardzo dużo w oczach moich, ale widzę, że zaczynasz pan znów tracić wszystko powoli.

— Zapomnijmy o przeszłości! Pozostawiam panu sześć miesięcy czasu na rozważenie projektu mojego, zdaje mi się zaś, że czas to dostateczny do wzbudzenia miłości w mojej córce. Gdyby jednak nie powiodło się panu, to w takim razie rozmowę naszą uważajmy za niebyłą. Z pretensjami moimi będę miał czas zawsze wystąpić, nie chciałbym je-

dnak, ażeby do tego przyjść miało. Przez te pół roku dom mój zawsze dla pana stoi otworem.

Hektor zacisnął pięście, gotów był wybuchnąć, ale znów się pohamował i rzekł z przesadną grzecznością:

— Spróbuję uczynić panu ten zaszczyt i pomyśleć o uczynionej mi propozycji.

— Warto trochę pomyśleć, panie wicehrabio, czasy bowiem próżnowania i uprzywilejowanego korzystania z rozkoszy życiowych minęły na szczęście we Francyi, teraz musimy pracować i stać się pożytecznymi w społeczeństwie.

— Kochany panie Grosrenard — rzekł Hektor złośliwie, sięgając po kapelusz — dotąd pożyczalem od pana tylko pieniędzy, zasady moralności czerpałem z kądiną. Racz pan pokłonić się pannie Alicyi i oświadczyć jej, że radbym zobaczyć ją znów wkrótce.

— Nie mniej rad będę powitać znów pana wkrótce w domu moim — odparł Grosrenard, kłaniając się pokornie i odprowadzając gościa do sieni.

Hektor, znalazłszy się znów w ogrodzie, zagwiżdzał popularną śpiewkę o pani Angot i wychodził z ogrodu rozbawiony tą przygodą. Takiego obrotu nie wzięło jeszcze nigdy żadne *rendez-vous* w jego życiu. Zaśmiał się sam do siebie, ale urwał nagle, przypomniał sobie bowiem postać Alicyi, jej oczy ciemne, cerę tak niezwykłą w Paryżu, taką świeżą, jej włosy jasne...

— Ładna bestyjka! wolalbym z nią rozmawiać,

niż z tym starym lichwiarzem. Prawdziwy typ Shylocka! Jakiż to byłby skandal w Paryżu, gdybym sobie tę Jessykę wybrał za żonę! Co jednakże się stanie, gdy po sześciu miesiącach dam mu odpowiedź odmowną? *Parole d'honneur*, wskażcie mi filozofa, któryby wybrnął szczęśliwie z tego położenia.

ROZDZIAŁ V.

Józefina w Malmaison.

Za czasów króla stangret byłby bardzo niezadowolony, gdyby mu jako mieszkanie ofiarowano siedzibę letnią, zwaną Malmaison, ale obecnie ów folwark uważano za bardzo odpowiedni dla żony prostego generała rzeczypospolitej. Nie była to bynajmniej wspaniała rezydencya, ale któżby tam zwracał uwagę na przepych w czasach, które powinny się odznaczać prostotą obyczajów! Malmaison miało być skromną siedzibą, gdzie właściciele liczą się z funduszami, tego zaś liczenia więcej, aniżeli kto inny, potrzebowała rozrzutna Józefina Bonaparte. Niegdyś słynne były podwieczorki czwartkowe przy Rue de la Victoire, ale od czasu przeprowadzenia się pani generałowej do Malmaison, mniej tu bywało gości. Tego dnia nie stawił się ani markiz de Coulaincourt, ani nawet stara przyjaciółka rodziny Bonapartych, pani Permont, natomiast widać było wielu młodzieńców, awanturników i wogóle zbieraniny, która bardzo nieostrożnej pani domu nadskakiwała, zabawiając ją plotkami stolicy.

Józefina wypieszczoną rękę swoją na pożegnanie podała zgrabnemu brunetowi w mundurze huzarskim.

— Do widzenia, panie Lantéches! proszę nie zważać na to, że dziś nie byłam może taką gospodynią, jak to być powinno, ale tyle przeróżnych interesów zbiera się ustawicznie, że głowa jest formalnie skotłowana. Rozkosz prawdziwą sprawia, gdy można się na kilka dni wydostać z tego piekła, jakim jest Paryż, i schronić się na wsi!

— My, żołnierze, nie czujemy jeszcze tak bardzo tych zawikłań politycznych, przypuszczamy jednak, że stolica bardzo dokuczyć pani musiała. Rozkazuj przeto, a to miasto, tak niesympatyczne dla ciebie, zrównamy z ziemią!

Żart ten rozśmieszył Józefinę, nie chcąc jednakże przedłużać rozmowy z pięknym oficerem huzarów, zwróciła się do innego mężczyzny:

— Czy i pan chcesz już nas opuścić, panie Elton?

Anglik, który umyślnie kazał się wprowadzić do domu pani Bonaparte, ażeby zbadać także teren u przeciwników, skłonił się bardzo nisko, okazując tem wielki szacunek dla gospodyni domu, i odparł:

— Muszę już pożegnać szanowne towarzystwo, pocieszam się jednak nadzieją, że wkrótce pozwoli mi znów pani złożyć sobie wizytę.

— Zanim to nastąpi, pragnęłabym, ażebyś pan poznał prawdziwe nasze rozrywki letnie i dlatego spodziewam się ujrzeć pana na zabawie w Long-

champs. Teraz miasto opustoszało zupełnie, młodzież z najlepszych domów wyruszyła z armią.

— Pozostały jednakże panie, a to rzecz najważniejsza—zaśmiał się Elton.

— O, o! zgrabnie mówisz pan komplementa — wtrącił drugi z oficerów, kapitan Duroc—Anglicy nie zwykli w ten sposób się wyrażać.

Całe towarzystwo zaśmiał się szczerze, Elton zaś, który już zdążył zaprzyjaźnić się z Duroc'em Lantéches'em, zaczął się żegnać, wyszedł też pierwszy, ale zamiast udać się do swojego powozu, wszedł do ogrodu i schronił się w jednej z bocznych alei. Tam przeczekał, dopóki ostatni z gości nie opuścił salonu i tylko z kieszeni wydobył świstek papieru, który znów schował pośpiesznie. Papier ten wypadł w oberżę z kieszeni Barrasa i zawierał kilka wierszy, skreślonych ręką Józefiny. Generałowa Bonaparte naznaczała tą drogą dawnemu kochankowi swojemu schadzkę w pawilonie ogrodowym w Malmaison i prosiła Barrasa, ażeby porzucił swoją oziębłość, tem więcej, że do wyznaczenia tej schadzki skłaniają ją sprawy niezmierniej wagi.

Józefina właśnie w tym dniu naznaczyła *rendez-vous* Barrasowi, Elton też postanowił śledzić ją i w ukryciu wysłuchać rozmowy tych dwojga ludzi, rozumował zaś sobie, że dwie osoby, zajmujące tak poważne stanowiska w Rzeczypospolitej, będą mówiły o sprawach, które niezmiernie okażą się ważne dla ziszczenia jego planów.

Sytuacyę Malmaisonu znał Elton dokładnie, wiedział też, że ów pawilon, zakryty krzewami, stoj

nad samym brzegiem Sekwany, nawprost wysepki Gautier.

Okolica to była cicha i opuszczona, po drugiej bowiem stronie rzeki dopiero rozciągała się wieś Craissy.

Pawilon sam, drewniany, nazwany mógł być śmiało rudera, ażeby się zaś do niego dostać, potrzeba było iść przeszło dwadzieścia minut.

Elton ukrył się w krzewach i czekał cierpliwie. Po jakimś czasie ujrzał zdaleka kobietę w stroju wieśniaczki, z czerwoną chustką na głowie i koszykiem na ręku, jak gdyby niosła z folwarku masło i jajka. Bystre oko Anglika po chodzie i całej postaci tej kobiety dostrzegło, że nie była to chłopka, przypatrywał się też uważnie, jak skręciła na pole i szła brzegiem lasku, ażeby następnie nagle skierować się wprost ku pawilonowi.

Elton zapał oddech w piersiach i czekał ukryty. W kilka chwil później przed pawilonem zatrzymała się łódka, z której wysiadł Barras, nie wyglądający wcale na czulego kochanka.

Słońce miało się już ku zachodowi i ostatnimi promieniami oświetlało dokładnie wnętrze pawilonu. Barras znużony był najwidoczniej i przybył tu jedynie z musu.

Znali się przecież z Józefiną już cztery lata, kiedy wdowa Beauharnais przyszła po raz pierwszy do niego prosić o zwrot skonfiskowanego majątku po mężu. Z przelotnej znajomości wywiązał się stosunek trwalszy, który przeciągnął się nawet po zaślubieniu przez piękną Józefinę generała Napoleona Bonaparte; później przerwała się na czas pewien ta mi-

łość i dopiero, gdy Bonaparte wyruszył na karkołomną wyprawę do Egiptu, Józefina wszelkimi siłami chciała się zbliżyć do dawnego kochanka.

Barras niedbale rzucił się na starą sofę, stojącą w pawilonie, i rzekł:

— Pisałaś mi, droga przyjaciółko, ażebym przybył, stawilem się przeto na twoje rozkazy, chociaż nie domyślałam się nawet, o co chodzić może w tej chwili.

— Ah! kochany Pawle, tak bardzo potrzebuję dziś pomocy twojej!

— Jeżeli o pieniądze chodzi, to muszę ci wyznać, że...

— Nie, nie! pieniędzy na razie nie potrzebuję, o to możesz być spokojny.

— Szczerze się z tego cieszę, przyznam ci się bowiem, że nic tak źle nie wpływa na stosunek wzajemny, jak kwestye finansowe.

— Teraz opieki tylko twojej potrzebuję—zawołała Józefina—chcę, ażebyś mnie zasłonił przed napaściami rozmaitemi.

Barras spojrzał uważnie, ona zaś westchnęła i po przerwie mówiła pośpiesznie:

— Od trzech miesięcy cały Paryż śmieje się ciągle z szykan, jakie wyprawia mi ustawicznie pani de Contades. Ta kobieta prześladowuje nas na każdym kroku; opłaca dziennikarzy, każe drukować paszkwile, rysownicy na jej zawołanie wystawiają w oknach księgarni karykatury. Niedawno odezwiała się w towarzystwie z takim pytaniem: „Jak panowie sądzicie, czy Bonaparte wcieli do swojego haremu, jaki

teraz utrzymuje w Egipcie, obecną małżonkę swoją?"
Ustawicznie znosić muszę jej napaści...

Oczy Józefiny rzucały gromy, ręce zaciskała konwulsyjnie i znać było wielkie wzburzenie wewnętrzne. Barras obojętnie przyglądał się temu wybuchowi, zapytał też zimno:

— I cóż ja mogę w tym wypadku uczynić? Nie mogę przecież pani de Contades wsadzić do więzienia, paragraf zaś 9-ty konstytucyi zapewnia wszystkim Francuzom swobodę mowy i pisma.

Józefina zerwała się nagle i chwytając za rękaw Barrasa, mówiła:

— Bój się tej kobiety, nikogo w życiu tak się nie bałam straszliwie. Wiem, że ta kobieta użyje wszelkich środków, ażeby mnie zgubić, sposobność zaś ma ku temu łatwą. Teraz rozsiewa plotki najpotworniejsze, a gdy te plotki dojdą do uszu Napoleona, to pewną jestem, że mąż mój natychmiast zażąda rozwodu.

Załamana rozpaczliwie ręce, Barras zaś uśmiechnął się złośliwie.

— Nie ma jeszcze powodu do rozpacz, przecież nie powrócił nasz mały generał, czy zaś powróci wogóle, to także kwestya. Zresztą, kochana Józefino, przyznaj z ręką na sercu, że sama dajesz powody do plotek. Przypomnij sobie Hoche'a, markiza Marmon-tel i wielu, bardzo wielu innych; pocziwy Bonaparte nic o tem nie wie dotychczas, ale to tylko jego szczęście, jak również twoje, generał bowiem zazdrosny jest prawie, jak Otello.

— To prawda, straszny człowiek ten Napoleon!

Zazdrosny do śmieszności, podejrzliwy, a przytem przeraźliwie skąpy.

— Wszyscy korsykańcy są tego rodzaju — wszczął Barras i urwał, oczy zwracając na Józefinę.

— Czy nie słyszysz tu jakiegoś szmeru w bliskości?

Oboje przybiegli do okna, rozglądali się i słuchali uważnie.

Anglik, chcąc lepiej słyszeć i widzieć, wszedł na postument kamienny, leżący obok pawilonu, ale grupa ta nie utrzymała ciężaru i rozłupała się z trzaskiem.

Elton w śmiertelnej twodze upadł w krzaki i pewnym był, że natychmiast zaczął poszukiwania, z kąd ten hałas mógł pochodzić, Józefina wszakże uspokoiła się pierwsza i rzekła:

— Najprawdopodobniej urwał się jakiś kawałek drzewa; stara to rudera ten pawilon, a jednak zawsze tu czuję się najbezpieczniejszą, gdzieindziej bowiem na każdym kroku znajduję szpiegów.

Barras zdziwiony spojrzał na nią, Józefina zaś mówiła z przejęciem:

— Nie uwierzysz, jak Lucyan Bonaparte szpieguje mnie ustawicznie. Każde moje słowo dochodzi do niego, oprócz tego zaś dozoruje mnie także Józef i ta mała żmija, Paulina Leclerc.

Uśmiech ironiczny wybiegł na usta Barrasa.

— Ha! sama chciałaś tego! Związałaś się z tą bandą nędzarzy korsykańskich i teraz musisz cierpieć. Ładne towarzystwo! Ten zarozumialec głupi, Józef, ustawicznie kandydujący o posady, do których

najmniejszej nie ma kwalifikacyi, ten narwaniec Lucyan, sam nie wiedzący, czego chce właściwie, ten mały lampart Jérôme i wreszcie skandaliczna Paulinka, wobec której nawet Faublas jest wzorem cnotliwości — wszyscy istotnie dobraną tworzą kompanijkę!

Pomimo tonu ironicznego znać było, że na samo wspomnienie rodziny generała Bonaparte Barras był wzburzony, Józefina też postanowiła skorzystać z chwili sposobnej i rzekła:

— Widzisz zatem, kochany Pawle, że mam powody do obaw. Bracia Napoleona uczynią wszystko, ażeby mnie zgubić, od ciebie więc zawisło nakazać milczenie pani de Contades.

— Nie mogę tego zrobić, najdroższa przyjaciółko — odparł Barras spokojnie — ta kobieta jest zbyt potężną i zbyt wielkie ma stosunki w Radzie Pięciuset, gdzie, bądź co bądź, zawsze jeszcze rojalisci są górą.

Józefina czuła, że Barras tym razem jest szczerzy; on, który teraz stał bliżej rojalistów, aniżeli partyi wywrotowej, nie uczyniłby nic na korzyść dawnej swojej kochanki.

— Nie jesteś takim dziś, jakim bywałeś dawniej dla mnie — rzekła wzdychając boleśnie — dawniej kochałeś mnie przecież, ale dziś zapomniałeś o wszystkim!

Józefina zasłoniła sobie twarz chustką i lkać zaczęła cicho. Barras wstał, spojrzał zimno na kobietę i rzekł:

— Nie przypuszczasz chyba, droga Józefino, ażebym powrócić miał do dawnej miłości. Wy, ko-

biety, przy lada sposobności powtarzacie: „Ah! jaka ja nieszczęśliwa!” a potem bardzo łatwo umiecie się pocieszać. Nie pora dziś mówić o przeszłości, raczej zastanowić się trzeba nad przyszłością.

— Właśnie tej przyszłości boję się ogromnie— szepnęła Józefina, na co jednakże Barras nie zważa i mówił dalej:

— Czy pomyślałeś kiedy o tem, że przyjść może do wypadków nieoczekiwanych?

Badawczo spojrzała na niego i zapytała z pewnem drżeniem w głosie:

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, drogi Pawle?

— Właściwie nic nie chciałem powiedzieć. O! proste zapytanie: czy zastanawiasz się nad tem, że przyjść może do zupełnej zmiany stosunków?

— Czy wtedy, gdy powróci Bonaparte?

Barras wzruszył pogardliwie ramionami.

— Któżby tam zwracał uwagę na takiego małego generała! Dla niego wystarczy, jeżeli potrafi się wykręcić z tej pułapki, jaką zastawili na niego Anglicy w Egipcie! Tu inne rzeczy przytrafić się mogą i kto wie, czy wszyscy znów nie będziemy musieli zagrać *va banque!*

Józefina nie zrozumiała znaczenia tych słów, czuła jednakże, iż chodzi tu o upadek Rzeczypospolitej i wiedziała, iż w razie tego upadku jej egzystencja również stoczy się w przepaść

Barras dokończył, akcentując każdy wyraz:

— Radzę ci, bądź lepiej bardzo ostrożną i staraj się właśnie zjednać sobie panią de Contades. Oto moje zdanie, a teraz pozwól, że zapytam ci się, co

uczyniłaś z listami, które pisywałem dawniej do ciebie? Czy zostały spalone?

— Nie mogłam zdobyć się na to — rzekła słodko — przechowuję wszystkie do tej pory.

— To nie dobrze, przypuszczam jednak, iż trzymasz je pod kluczem.

— Schowałam je do toalety w sypialnym pokoju moim i często odczytuję sobie te listy, gdy bowiem przeszłość nie może się już wrócić, to niech przynajmniej zostanie wspomnienie.

— Bardzo to ładnie z twojej strony, kochana Józefino, że lubisz wspomnienia, wszelako nie chciałbym, ażeby generał Bonaparte dowiedział się kiedykolwiek, za jaką cenę otrzymał komendę nad armią włoską — zaśmiał się Barras i na pożegnanie z szacunkiem ucałował rękę dawnej swojej kochanki, po czem rzekł znacząco:

— Jeszcze raz powtarzam, droga przyjaciółko, bądź ostrożną i pomyśl o tem, że w tym roku jeszcze wspaniale zakwitnąć mogą lilie.

Wyszedł pośpiesznie i skierował się znów ku oczekującej na niego łódce; Józefina długo patrzyła za odchodzącym, wreszcie westchnęła i tą samą drogą, którą przyszła, oddaliła się z pawilonu.

Elton przeczekał kilkanaście minut, zanim odważył się wyjść z ukrycia, zadowolony też opuszczał ogród w Malmaison, rozmawiając sam z sobą:

— W każdym razie skorzystałem dużo, chociaż Barras nadspodziewanie był powściągliwy; teraz całkiem zadaniem mojem będzie wydobyć owe listy z toalety pięknej kreolki, a jeżeli wtedy Barras z Bona-

parte'm wezmą się za czuby, to zysk wyciągnie Anglia wielki.

Zbliżając się ku pałacykowi, Elton badawczo rozglądał się w sytuacji i przypatrywał oknom pierwszego piętra, gdzie mieściła się sypialnia Józefiny. Badania te wypaść musiały korzystnie, Anglik bowiem uśmiechnął się zadowolony.

ROZDZIAŁ VI.

Dwaj potentaci Rzeczypospolitej.

Od świtu już ruch wielki rozpoczął się na Polach Elizejskich; karety i wszelkiego rodzaju ekwipaże, jeźdźcy i zwykli przechodnie zdążali pieszo ku Laskowi Bulońskiemu, do Longchamps, gdzie odbyć się miało słynne *corso*, wznowione zaledwie przed dwoma laty.

Przez kilka lat z rzędu nie było w Paryżu towarzystwa, któreby mogło się bawić w ten sposób; ci, którzy dawniej podtrzymywali *corso*, padli pod nożem gilotyny, lub też jako emigranci, wiedli żywot zdaleka od kraju. Dyrektoryat pragnął tę przerwę wynagrodzić sowicie, ażeby nie mówiono, że Paryż przestał być pod tym względem stolicą świata.

Ku laskowi Bulońskiemu podążały tłumy różnobarwne, gwardya też konna z trudem utrzymywała porządek. Słońce przyświecało jasno i w jego blasku odbijały się białe, niebieskie, czerwone i zielone stroje dam, przybranych w czapki à la Nelson, à l'Esclavonne, wykwit mody ostatniej; to znów w kapelusze szerokie i turbany jedwabne z piórami. Szale

kaszmirowe koloru purpury, długie suknie jońskie, wreszcie gaza lekka różowa przewijała się przed oczyma; złośliwi mówili, że we Francyi nawet i pod względem gustu zapanowała anarchia zupełna.

Istotnie niemożliwych dobierano kolorów i najzudacniejsze wymyślano formy dla strojów kobiecych w tym Paryżu z końca XVIII-go stulecia! Nie mniej dziwacznie wyglądali mężczyźni w wązkich butach z cholewkami, we frakach zielonych, niebieskich lub pomarańczowych, dźwigający w rękę laski, grube jak pieńki, lub też długie jak tyczki, a każdy zaopatrzony był w lornetkę lub też ciemne okulary, co śmiesznie wyglądało, zwłaszcza u młodzieży głowasej.

Paryżanie cieszyli się, że niebo okazało się łaskawe dla *corsa*, był to też istotnie piękny dzień czerwcowy. Akacje kwitnące rozsiewały woń dookoła, ta woń zaś mieszała się z zapachem bzu, gwoździaków i fiołków, przygotowanych do walki kwiatowej.

Największy ścisk panował w ogrodzie Bagateli, przy pałacyku, należącym dawniej do hrabiego Artois, w tem miejscu bowiem ustawiono trybuny, nad któremi powiewały różnokolorowe chorągiewki.

Rozległy się dźwięki muzyki, ale zagłuszały je okrzyki i rozmowy tysięcy ludzi. Bagatela służyła za najlepszy punkt obserwacyjny; ztąd widzieć można było wszystkie powozy przejeżdżające, strojne mundury oficerów armii włoskiej i nadreńskiej, pióropusze dyplomatów, nawet członków Dyrektoryatu.

Jężdżcy na pięknych rumakach skoncentrowali

się około pałacyku, pomiędzy nimi zaś wyróżniał się Hektor de Laringuet na wspaniałym karym ogierze.

Hektor dostrzegł zbliżający się tandem Eltona, ubranego nadzwyczaj gustownie i zwracającego ogólną uwagę tem, co się nazywa *fashionable*. Niktby się nie domyślił w tym młodzieńcu, ubranym podług ostatniej mody w szeroki surdut brązowy, w białych pończochach, sięgających aż do kolan i spiętych niebieskimi podwiązkami, w krawacie muslinowym kolosalnych rozmiarów — agenta, wyslanego z pewną misją przez Pitta.

— Daję słowo — rzekł, podjeżdżając ku niemu Hektor — naprawdę jesteś wzorem dobrego smaku, panie Elton! Naśladować cię można, ale dorównać ci nigdy.

— Zmieniasz pan zatem zdanie — zaśmiał się Anglik, któremu podobalo się to pochlebstwo — dawniej bowiem mówiłeś, że jestem tylko dziwakiem.

— Żałuję tego obecnie i odwołuję solennie — śmiał się również Hektor — a teraz chodźmy do naszej bogini, której należą się hołdy.

Zanim jednak udał się młody Laringuet z Eltonem w stronę, gdzie siedziała pani de Contades, Hektor rzucił okiem po tłumie, jak gdyby szukał jeszcze kogoś. Wiedział, że Alicya Grosrenard ma przybyć również na *corso*...

Pani de Contades powitała nadchodzących nader uprzejmym uśmiechem, więcej jednakże kierowała go ku Eltonowi, aniżeli ku Hektorowi.

— Podziwiam zręczność panów, że w tym tłumie zdołaliście się przedostać do mnie; jak widzę, cały Paryż znalazł się dziś w Longchamps.

— I ręczę—wtrącił Hektor—że wszyscy ci ludzie przyszedli tu, ażeby tobie, pani, oddać pokłon.

— Zanadto dziś jesteś uprzejmym, panie Hektorze, jeżeli też pójdzie tak dalej, to wieczorem nie wiem, na czym się zatrzymasz.

— Złą widać opinię mam u pani.

— Ależ naturalnie, że nie uważam pana za drugiego kawalera de Concy—zawołała tonem, który gniewał trochę Hektora.

— Może się pani mylisz — przerwał podrażniony, ale ona nie słyszała tego nawet, w tej chwili bowiem szepnął jej Elton, stojący z drugiej strony:

— Barras przybędzie dziś na *corso*, zbliży się do ciebie, pani, twojem zaś niechaj będzie staraniem, ażeby jak najwięcej ludzi zauważyło waszą rozmowę.

Oczy kobiety wyrażały tryumf zupełny, zwróciła się też tak do Eltona, ażeby Hektor nie posłyszał rozmowy.

— I ja również mam panu coś ważnego do zakomunikowania! Wczoraj otrzymałam depeszę od Moreau'a, przystał on na mój projekt, cofa się z armią swoją i mniej więcej za osiem tygodni skoncentruje wszystkie siły w okolicy Paryża, a wtedy przeprowadzimy w Radzie Pięciuset wszystko.

Elton skinął głową na znak zadowolenia.

— Doniosę natychmiast o tem hrabiemu Artois, ażeby był przygotowany do wylądowania we Francji o każdej porze.

— O jednej drobnostce nie wolno nam zapominać — rzekła pani de Contades, Elton zaś słuchał

uważnie.—Co się dzieje z oficerami, których nazwiska panu podałam?

— Ach, prawda! miałaś mi pokazać ich dzisiaj, gdzie oni?

— Trzeba jeszcze poczekać trochę! Przybędą napewno, niechaj tylko zapelni się ten pawilon po drugiej stronie drogi, najęła go bowiem rodzina Bonapartych. Do tej pory niema tam jeszcze nikogo, nawet generałowa jeszcze się nie stawiała.

Elton opowiedział jeszcze pani de Contades wszystko, co podsłuchiwał w Malmaison, kiedy zaś mówił o listach, Estella słuchała pilnie.

— Trzeba wynaleźć człowieka, któryby ten skarb wykraść potrafił—rzekła, Elton zaś odparł:

— Znalazłem już takiego.

— To dobrze! przeciwko Bonapartemu żadną bronią nie można pogardzać.

Tłum napływał coraz większy, powozy zajeżdżały ustawicznie, wokoło zaś słychać było najwięcej rozmów w języku angielskim, wielki świat bowiem Paryża przepadał za wszystkim, co pochodziło z tamtej strony kanału.

Rozpoczęła się walka kwiatowa i w tejże samej chwili pani de Contades zawołała:

— Teraz przypatrz im się pan dobrze, wszyscy czterej znaleźli się obok pawilonu generałowej.

— To oni? Ależ znam ich wszystkich dobrze, szczególnie Lanteches'a i Duroc'a—rzekł Elton—poznałem ich u poczciwej pani Józefiny! Ona tak przepada za huzarami...

— Co zamýślasz uczynić? — zapytała, wpatru-

jąc się przenikliwie w oczy Anglika, on zaś rzekł zimno:

— To już moja tajemnica! Plan mam gotowy i spełnić on się musi.

Eltonowi przypomniał się w tej chwili właściciel słynnej oberży, Godard.

— Dobrze zatem, uregulowanie tej sprawy pozostawiam panu, nie wątpię zaś, że powiadomisz mnie wkrótce, co się stało, pamiętaj pan jednak, że zemsta słodkiem jest uczuciem!

Anglik popatrzył na kobietę i rzekł poważnie:

— Dotychczas słyszałem tylko, że miłość jest słodkiem uczuciem, co do mnie jednakże, przyznam się, że i ja wolę mścić się, aniżeli kochać.

Estella nie mniej była poważną, gdy mówiła:

— Miłość—bardzo to rzecz piękna, ale zostawmy ją lepiej dzieciom! Dobrze to jest, gdy człowiek jest młodym, słabym, gdy tęskni do słońca, a serce rzuca się w piersi i samo nie wie, czego pożąda. Mnie to już nie zadawalnia, mnie potrzeba panowania nad ludźmi i to jedyny cel, który wart zachodu. Biada każdemu, ktoby śmiał stanąć wpoprzek drogi mojej! Nikogo nie oszczędzam w takich razach!

— To znaczy, że obce jest pani zupełnie uczucie litości? Pani, taka młoda, nie wiesz co to litość?—rzekł Elton z dziwnie sarkastycznym wyrazem twarzy.

Zaśmiała się młoda kobieta.

— I dla kogoż miałabym być litościwą, czy dla tego tłumu bezmyślnego? Ludzie, którzy w przeciągu dziesięciu lat tyle przysięg złamali, tylu lotrów ubóstwiali, nie zasługują na pobbżanie, im należy się

kara i ta ich spotka, gdy znów dojdziemy do władzy.

Kiedy to mówiła, na ustach pani de Contades znać było drganie nerwowe i rzeczywiście w tej chwili wyglądała jak sędzia groźny. Siła tej kobiety imponowała zimnemu Anglikowi, czuł on też, że ma przed sobą osobę zdecydowaną na wszystko, pewną siebie i przejętą misją, jakiej się podjęła. Wyciągając rękę nad tym tłumem miała wygląd lwa, który chce się rzucić na swoją ofiarę, na tę Rzeczpospolitą, tracącą siły i nie wiedzącą, dokąd dążyć ma dalej. Ogniem i żelazem gotową była wytępić wszystkich, ażeby nawet ślad nie pozostał nazwiska i ażeby dzieciom tych ludzi nie przyszło kiedyś na myśl zrzuć nie jarzma.

Pani de Contades śniła teraz na jawie o władzy i szczęściu, pierś jej rozszerzała się i gorzały oczy, nie słyszała też rozmów i dowcipów, jakie padały w najbliższem jej sąsiedztwie.

— Ho, ho! postarzała się nasza pani Tallien! i pomyśleć tu sobie, że przed trzema laty wszystkim zawracała głowy!

— Pokazuje się—odparł ktoś drugi — że nawet bogowie nie są nieśmiertelni.

Pani de Contades była już znów spokojną, rzekła też do Hektora:

— Pan, który znasz wszystkie piękności paryzkie, musisz mnie objaśnić, co to za młode dziewczę jedzie w tym zgrabnym ekwipażu?

Wszyscy popatrzyli w tę stronę, Elton zaś, jako prawdziwy znawca, zauważył:

— Doprawdy! wspaniałe zjawisko!

Ujawszy sama cugle, zręcznie kierowała dwoma pięknymi końmi Alicya Grosrenard; służący na tylnem siedzeniu miał na sobie prawdziwie wspaniałą liberyę, Alicya zaś sama w skromnej sukni z perkalu różowego, którą tylko zdobiła kosztowna agraфа w kształcie łba lwiego, tem więcej odznaczała się wobec kosztownej uprząży i drogiego powozu. Damy z pobliza pani de Contades, wyłącznie mieszkanki z Faubourg St. Germain, poznawszy nareszcie właścicielkę powozu, wyrzuciły z siebie cały grad uwag złośliwych.

— Ha, ha! Ależ to Grosrenardówna, której papa tak niedawno był jeszcze cieślą na okrętach!

— Prawdopodobnie sam musiał zbudować ten ekwipaż!

— Jak tu czuć trociny!

Nie poprzestając na tem, jeden z mężczyzn zawołał tak głośno, że słychać go było daleko:

— *Bonjour mademoiselle Turcaret!* -- wiadomo zaś było, że *Turcaret* tworzył typ głupiego, ordynarnego a zarozumiałego parweniusza, typ, który pojawiał się na wszystkich scenach paryzkich.

Dowcip ten wywołał uśmiechy i oklaski, które były zwłaszcza panie, nic bowiem nie gniewa tak starej rodowej arystokracji, jak pojawienie się nowej osoby, która pragnie olśnić swoim zbytkiem.

Alicya, nie przygotowana na tego rodzaju zaczepki, wygłaszane z całą perfidyą, zaczerwieniła się po uszy, zacisnęła wargi i nie patrząc na otoczenie, sztywno siedziała na koźle, nie wiedząc, gdzie teraz się udać. Nagle zbliżył się ku niej jeździec, który od-

łączył się od trybuny arystokratycznej i złożył jej ukłon pelen uszanowania.

Na widok tego ukłonu Hektora de Laringuet serce zabiło żywiej Alicyi, doznała też uczucia nieznanego przedtem zupełnie. Hektor swobodnie i wesoło zaczął rozmawiać, przypominając jej owo pamiętne spotkanie w ogrodzie Monceaux. Ona odpowiadała tylko z trudem, pomimo, że natychmiast po przybliżeniu się Laringueta ustały napaści i uwagi głośne; powstrzymywano się widocznie i mówiono ciszej:

— Ten młody Laringuet! Któżby się mógł spodziewać? Gdzież on się mógł zapoznać z tą gryzetską?— krążyły zapytania wśród dam, pani de Contades zaś popatrzyła przez lornetkę czarną, wzruszyła ramionami, roześmiała się nawet, ale w gruncie rzeczy nie mniej była zaciekawioną. Chciała właśnie zasięgnąć u Eltona informacji, gdy ten, nachylając się ku niej, zawołał półgłosem:

— Oto i obywatelka Bonaparte!

Wistocie zdaleka już poznać można było jasnobronzowy kabriolet Józefiny, otoczony całą grupą oficerów. Józefina przyjechała z Pauliną Bonaparte, ubrana w *chiton* grecki, oblamowany czerwono; na nogach miała sandały, we włosach przepaskę złotą, wyglądała też naprawdę, jak statua wspaniała.

Józefina, przybywszy do Bagateli, natychmiast zwróciła oczy w stronę, gdzie siedziała pani de Contades, a zmierzenie się wzrokiem tych dwóch kobiet nie uszło uwagi tłumu, który stał się niespokojnym, jak gdyby te masy podzielić się chciały na dwa wro-

gie sobie obozy. Nikt nie patrzył teraz na powozy, konie, jeźdźców, te dwie kobiety bowiem wytworne przykuły do siebie wszystkich. Oficerowie gromadzą się około żony człowieka, któremu zawdzięczają zwycięstwa we Włoszech; ten i ów krzyknął: *Vive la Republique!* — ale ten afront, wyrządzony arystokracji, nie wywołał żadnego wrażenia.

Pani de Contades, widząc to, zaśmiała się tylko, zmierzyła spokojnie wzrokiem swoją przeciwniczkę, wiedziała bowiem, że w tej chwili większą rozporządza siłą. Dumna kobieta czekała tylko na to, ażeby jeszcze pojawił się u niej Barras, wtedy bowiem odniesie tryumf zupełny.

Elton nie życzył sobie tego, ażeby otoczenie pani Bonaparte dostrzegło go w loży pani de Contades, usunął się też, korzystając z chwili odpowiedniej, i dążył ku Hektorowi.

— Już opuściłeś pan tę ładną istotę? — zawołał zdaleka.

Hektor uśmiechnął się i położył rękę na ramieniu Anglika:

— Czy byłeś już kiedy, panie Elton, w tem położeniu, że znalazłszy się u wejścia do raju, chciałeś sięgnąć po najpiękniejsze owoce, gdy nagle drzwi zamknięto ci przed nosem?

— To mnie spotkać nie mogło — odparł Elton zimno — w takim bowiem razie potrafiłbym drzwi wyważyć przemocą.

— A jednak w tem położeniu ja się obecnie znajduję wobec tego młodego dziewczęcia.

— Zanadto dziś jesteś zagadkowym, panie He-

ktorze, muszę też sobie poszukać towarzystwa, gdzie rozmowy prowadzą się mniej symbolicznie.

Elton przybliżył się do grupy huzarów, którzy powitali go serdecznie, jako miłego towarzysza zabawy i Anglika, zawsze budzącego żywy interes.

— Dzień dzisiejszy przypomina mi Medyolan! — zawołał Duroc do Lanteches'a — czy pamiętasz nasze wkroczenie do tego miasta? Tak samo wtedy przyświecało gorące słońce, a z wszystkich okien i z dachów patrzyły na nas tysiące oczu ludzkich.

— *O bella Italia!* — zawołał Marbeuf — nie chciałbym wtedy być żonatym medyolańczykiem, źle im się bowiem działo.

— W Paryżu także dzisiaj nie będzie lepiej — zaśmiał się Duroc, Lanteches zaś, niemniej uśmiechnięty, zwrócił się do Eltona:

— Powiedz nam pan otwarcie, czy odważyłbyś się, gdybyś miał żonę, przyjechać do Paryża?

— Dopóki panowie jesteście na urlopie, stanowczo bym jej nie przywiózł!

— Niestety! — rzekł Duroc melancholijnie — jutro wyruszam z powrotem do domu, ale to nie przeszkada mi wcale dziś jeszcze użyć Paryża!

— Raz się tylko żyje — zawtórowano wśród oficerów — a słońce dzisiaj przyświeca tak pięknie.

— Może zrobimy jaką wycieczkę? — zagadnął Elton — znam kilka miejsc nad Sekwaną, gdzie wybornie można się zabawić.

— Znakomity pomysł. Prowadź nas, panie Elton!

Ułożono cały plan i Elton wskazał oficerom miejsce, gdzie będzie na nich czekał z wynajętymi łodziami, poczem oddalił się, ażeby znów przybliżyć

się do pani Contades. Zastał ją niezadowoloną, czego Anglik nie umiał sobie wytłumaczyć, nie przypuszczając, ażeby na brak dobrego humoru wpłynąć miała nieobecność Hektora, który pośpieszył za Alicją Grosrenard.

Bojąc się narazić na ponowne zaczepki, Alicya spiesźnie skierowała powóz w stronę jednej z bocznych alei, gdzie leżce oddała stangretowi, sama zaś zeskoczyła z kozła na ziemię. Rumieńce wstydu nie zeszły do tej pory z jej twarzy, wzburzoną też była przejściem niemiłym. Rozglądała się dokoła i ku swojej wielkiej uciechy, spostrzegła szybko zbliżającego się Hektora, wyciągnęła przeto obie ręce ku niemu i zawołała z przejściem:

— O panie! jakże wdzięczną ci jestem za odwagę wzięcia mnie w swoją opiekę!

Larinet poniósł jej rękę do ust z gracyą.

— To ja właśnie podziwiałem odwagę pani, że dziś, wobec takiej publiczności...

— Przestrzegano mnie wprawdzie, ale ja nie obawiam się niczego w życiu, chciałam też tylko pokazać tym damom z Boulevard St.-Germain, że minęły już czasy, kiedy one jedynie znaczyły coś na świecie.

Alicya urwała, jak gdyby przypomniawszy sobie, że mówi za wiele i dokończyła zawstydzona:

— Przepraszam pana, wice-hrabio.

— Owszem, mów pani dalej, pięknie pani z tem ożywieniem, zresztą, Boże drogi!... Ojciec pani ma swoje przesady, my zaś mamy swoje.

— Ta tylko zachodzi różnica, że wasze przesady są więcej zakorzenione.

— Zkąd ten wniosek?

— Choćby tylko dlatego, że nawet nie odwiedziłeś pan ojca mego, chociaż mi to przyrzekłeś. Czyżby panu nic nie zależało na nas?

— Zdaje mi się, że po tem, co uczynilem dzisiaj, nie powinna mi pani zadawać takiego pytania.

Patrzyła na niego długo, badawczo, poczem mruknęła, spuszczać znów na dół oczy:

— Powiedz mi pan szczerze, czy gotówbyś mnie zawsze wziąć w opiekę przed temi paniami, przed przyjaciółmi pańskimi i wogóle przed całą arystokracją?

— Nie zawaham się nigdy! — odparł z siłą i prostotą.

Spojrzeli znów sobie w oczy długo i przeciągle, Hektor zaś westchnął ciężko; działo się z nim coś niezwykłego, doznawał uczucia, jakiego nie znał przedtem.

— Wiem — szepnęła Alicya — że wzięto panu za złe to zbliżenie się ku mnie.

— Z czego to pani wnosisz?

— Widziałam tam damę bladą o wielkich i strasznych oczach, ta kobieta rzucała gromy na pana swemi oczyma, jestem pewną, że mścić się będzie strasznie!

— Dlaczego by się miała mścić, kiedy ja nie jestem dla niej niczem — zaśmiał się Hektor, przybierając na twarz maskę obojętności.

— Mam przeczucie, że ta kobieta nam obojgu przyniesie nieszczęście... powiedz mi pan jej nazwisko.

— Pani de Contades.

— Ah! — zawołała Alicya, Hektor zaś ujął ją za rękę i mówił wesoło:

— Proszę tylko nie być zazdrosną, w tym wypadku jest to zupełnie zbyteczne.

— Skoro zbyteczne, to poproszę pana o wyrządzenie mi pewnej grzeczności.

— Rozkazuj pani!

— Przyjdź pan do nas w tych dniach na obiad, ojciec mój ucieszy się bardzo, czekam na pana.

— Wiem o tem — odparł Hektor, przybierając znów ton ironiczny—pan Grosrenard chciałby uczynić ze mnie generalnego inspektora wszystkich cyrków w Paryżu, albo też najpierwszego flecistę w Dyrektoryacie, dobrze, przyjdę, choćbym tam miał u państwa znaleźć całą rodzinę waszą, wszystkich zdunów i mularzy paryzkich. Dla pani zniosę wszystko!

Alicya nie odpowiedziała nic, westchnęła tylko, on ujął jej rękę na pożegnanie i rzekł znów poważnie:

— Będę w tych dniach.

Twarz panny Grosrenard rozpogodziła się nagle, szepnęła też jedynie:

— Czekam.

Zagłębiony w dumaniach, powracał Hektor znów do Bagateli i musiał przeciskać się przez tłum, który posuwał się ku trybunom. Zaciekawiony, co mogło wywołać ten ruch, Hektor również zdążył w tę stronę i dostrzegł rzecz istotnie niezwykłą. Przy powozie pani de Contades stał dyrektor Barras i rozmawiał z nią w sposób ożywiony i przyjacielski. Wywołało to ogólne zdumienie; o niczem innem nie

rozmawiano, jak tylko o zbliżeniu się Dyrektoryatu do agitacyi rojalistycznej.

Wypadek zaiste dziwny, temat do rozmowy dla Paryżan na dni kilka!

Józefina pobladła, patrząc na tę scenę, gniotła wachlarz trzymany w ręku, cała zaś rodzina Bonapartów zaledwie hamować zdołała swoje oburzenie.

Szczerzy republikanie czuli, że najwybitniejszy i najbardziej wpływowy mąż sprzedaje w tej chwili losy Rzeczypospolitej i że najbardziej wpływowa kobieta zdradza kraj własny...

A Barras rozmawiał wesoło z panią de Contades.

ROZDZIAŁ VII.

Zemsta kobiety.

— Więc to jest *Quai de Gesvres*?

— Tak jest, panie Elton.

— Tam zaś naprzeciwko, to most Notre-Dame i z tej strony wymknąć się niepodobna w żaden sposób?

— Najzupełniej niemożliwe wybrnięcie!

Wybornie urządziłeś tę pułapkę, panie Godard— uśmiechnął się Elton, pomimo to jednak przechylał się przez poręcz okna, ażeby sprawdzić, czy nie są to przechwalki ze strony Godarda.

Anglik zmierzył dokładnie okiem dom cały, a był to rodzaj balkonu, zamkniętego ze wszystkich stron i posiadającego jedno tylko okno, wychodzące na Sekwanę. Rzeka przepływała tuż pod oknem, oddzielona od niego o jakieś cztery, czy pięć metrów. Na balkonie, zakrytym girlandami z kwiatów, stał szeroki, zwykle po szynkach używany stół, przy którym chętnie siadywali goście oberży ze względu

na prawdziwie piękny widok, jaki tutaj napawał oczy.

— Mówiłeś pan, że z chwilą, gdy poruszy się lewar?...— spytał Elton.

— W podwórzu mam ukrytą całą maszyneryę i wystarcza kilkakrotne poruszenie lewarem, ażeby wszystko to wpadło do wody; balkon nie jest bynajmniej połączony ze ścianą domu, ale oparty tylko na dwóch belkach, które przy pomocy maszyneryi natychmiast dadzą się usunąć. Równocześnie usuwają się także schody, okna zaś zamykają raptownie. Nie było wypadku, ażeby się ktośkolwiek mógł uratować — zaśmiał się Godard — każdego możemy utopić jak kota w worku, a gdy już cała operacya skończona, wtedy klatkę dźwiga się znów z powrotem i osadza w miejscu właściwem.

Anglik, pomimo wesołego uśmiechu Godarda, zimny był i poważny, badał też dokładnie wszelkie szczegóły.

— Czy drzwi i ściany mocno są zbudowane?

— Jak mur, można trząść i szamotać z całej siły, a jednak na nic się to nie przydaje.

— I pan zaręczasz, że z mostu nic nie widać?

— Proszę się dobrze rozpatrzeć w położeniu, a przekona się pan, że choćby kto patrzył przez lunetę, niczego nie dojrzy!

Elton raz jeszcze przechylił się, ażeby zbadać wszystko dokładnie i zawołał:

— Wstrętne to doprawdy miejsce!

Wistocie, o ile widok był piękny z balkonu, gdy się patrzyło z daleka, o tyle znów, patrząc z góry na rzekę z balkonu, okolica zasługiwała na na-

zwe wstrętnej; słusznie też Quai de Gesrres uchodził za najbrzydszą z brzydkich dzielnic Paryża, położonych nad Sekwaną. Dwa mosty, łączące brzeg z miastem, znajdowały się w stanie rozkładu, datującego się jeszcze z czasów Ludwika XV-go, mieszkało zaś tutaj około 1,000 ludzi w domach bardzo wązkich, ale pięcio lub sześć-piętrowych; wszystko razem przedstawiało jakiś chaos brudu, nędzy i ukrywającej się przed okiem ludzkim zbrodni. Podczas wylewu Sekwany wszystkie te domy musiały być zupełnie opróżniane, a mieszkańców przenoszono w dogodniejsze miejsce. Pomiędzy mostem Change a Notre-Dame na polach zbudowano ulicę, nazwaną Quai de Gesvres. Zimą w te pale były ustawicznie kry lodowe, nikomu jednakże nie przyszło na myśl podeprzeć je i poprawić.

Eltonowi przedstawiło się to wszystko jak piekło, brakowało tutaj światła, powietrza i bodaj odrobiny czystości, tutaj też rewolucya znalazła najpoddatniejsze żywioły.

— Wszystko bardzo wygodnie urządzone—rzekł Godard do Eltona, który w milczeniu cofnął się na balkon.—Opuszcza się człowieka na dół, trupa wyrzuci rzeka na przeciwnym brzegu, a gdy go następnie znajdą, każdy przypuści, że zająć musiał jakiś wypadek. Policya nic w takich razach nie może uczynić, niema bowiem najmniejszego śladu, żadnej rany, która przy innych sposobach zawsze jest niebezpieczną.

— Kogo wyeksperymentowałeś pan pierwszego na tamten świat w ten sposób? — przerwał Elton.

Godard namyślał się przez chwilę, poczem odparł:

— Hm! pierwszy raz spróbowałem we wrześniu 92-go roku, otrzymałem wtedy rozkaz...

— Ząpewne od komisyi, która oczyszczala więzienia?

— Przeciwnie — zaśmiał się przebiegle Godard—emigranci kazali im uprzątnąć pewnego młodego koniuszego dworu, o którego prawomyślności powątpiewali.

Godard gotów był wszystko opowiedzieć szczegółowo, ale przerwał mu Elton.

— Słuchaj pan zatem. Dziś około godziny 8-ej przyjdzie tutaj dwóch młodych oficerów, czy ręczysz mi za to, że wszystko załatwione będzie jak należy?

— Ręczę — rzekł Godard z mocą.

— Dobrze! Kiedy już wszystko będzie załatwione, to dasz mi natychmiast znać do oberży „Pod rąjskiem jabłkiem.“

Anglik chciał już odejść, ale gospodarz go zatrzymał.

— A zapłata?

— Otrzymasz więcej, aniżeli zwykle, ażebyś nie powiedział, że rojaliści są skąpi.

Elton przeszedł kilka dziedzińców opuszczonych i udał się wprost do oberży „Pod niebieskim szczupakiem“, zanim jednakże wyszedł jeszcze na ulicę, zapytał Godarda:

— Czy nie możnaby przyglądać się tej operacyi?

— Niestety! nie ma okna w ścianie najbliższej.

— Szkoda — mruknął Anglik i nie mówiąc nic więcej, zniknął na zakręcie ulicy.

Godard patrzył za odchodzącym ze wstrętem i po chwili wszedł do szynkowni najspokojniej, oczekując na gości.

Upłynęły dwie godziny i nad wieczorem ukazało się na ulicy dwóch oficerów, Marbeuf i Gwidolantes, zdążających wprost do oberży „Pod niebieskim szczupakiem.“ Obadwaj w wybornych byli humorach, rozpuścili pałasze, które pobrzakiwały o bruk uliczny i z uśmiechem przyglądali się okolicy.

— Wstrętna dziura! — zawołał Marbeuf — zdaje mi się jednak, że to właśnie tutaj byliśmy z Eltonem przed dwoma tygodniami?

— Ależ naturalnie! Ztąd robiliśmy wycieczkę na łódkach do Auteuil.

— Pokazuje się, że Anglik lubi takie wycieczki.

— Któżby nie lubił, gdy czeka go dobra butelka wina i ładna kobieta! Niewątpliwie też pomyślał on o jednym i o drugim.

Doszli do oberży, gdzie na progu witał ich z całą uprzejmością gospodarz.

— Czy był tutaj pan Elton? — zapytał Lantes niedbale.

— Był, proszę panów, zamówił balkon i powiedział, że około 9-tej zajedzie żaglowcem.

— W takim razie poczekamy — zawołał Marbeuf.

— Może panowie pozwolą odrazu do pokoiku nad rzekę — zapraszał Godard — widok tam bardzo piękny.

Znalazłszy się na balkonie, zaśmiał się Marbeuf:

— Strasznie tu wilgotno, a nam taka woda nie wystarcza, przyniesz no jegomość jaką butelczynę, ale najlepszą z tych, które posiadasz.

Godard oddalił się natychmiast, kiedy się zaś drzwi za nim zamknęły, Lantéches się odezwał:

— Czy nie zauważyłeś, jaka to twarz bandyty u tego właściciela oberży?

— Nie patrzyłem na niego, a zresztą nicby mi nie przyszło z takiej obserwacji.

— Jednakże ten człowiek ma twarz wyjątkowo łajdacką!

Gotard powrócił z butelką i kieliszkami:

— Czy panowie jeszcze co rozkażą?

— Nie, możesz odejść!

Godard, oddalając się, rzucił bacznie okiem na oficerów. Lantéches chodził w tę i ową stronę po balkonie i mruczał:

— Dziwne pomysły ma doprawdy ten Elton!

— Mój drogi, Anglicy zawsze są ekscentryczni, zobaczysz, gotów on jeszcze zajechać po nas na jakiej ogromnej szalupie. Byle tylko nie zwlekał z tym swoim przyjazdem.

Pomimo tych uwag przyjaciela, Lantéches nie mógł się pozbyć niemiłego uczucia, jakiego doznawał na widok tej okolicy, ulic brudnych i gospodarza o twarzy zbójeckiej, Marbeuf natomiast spokojnie nalał sobie wina, a podając drugą szklankę przyjacielowi, zawołał wesoło.

— Za zdrowie pięknej Pauliny! To mi kobiecie, przy niej nawet generałowa traci ogromnie.

— Masz rację! Cała rodzina Bonapartych niewiele warta, ale znać w nich dobrą rasę.

Lantéches podniósł kielich do ust, ale przerwał nagle:

— Czy nie słyszysz jakiegoś szmeru?—zapytał i nie czekając nawet na odpowiedź, podbiegł do drzwi.

— Co to jest! drzwi zamknięte!

Przyjaciele spojrzeli po sobie i obydwaj zaczęli trząść drzwiami, ale wszystkie ich zabiegi były próżne.

— To jakaś zasadzka! — krzyknął Lantéches, chwytając pośpiesznie za szablę—proszę otworzyć!

Nie odpowiedział nikt na to wołanie i tylko w tejże samej chwili oficerowie posłyszeli huk przy oknie, co oznaczało zapadnięcie się rygla żelaznego. Zapanowała ciemność zupełna.

— Co to jest! co to znaczy! — wołali obydwaj i pałaszami bili w drzwi, ale ostrza łamały się o twarde deski dębowe.

W tej chwili posłyszeli zgrzyt w drzewie, jak gdyby załamywały się deski i czuli, że tracą grunt pod nogami. W pierwszej chwili przystanęli i słuchali ciekawie, kiedy jednak spostrzegli, że śmierć wyciąga ku nim ramiona, wydali naraz okrzyk przeraźliwy, w którym zmieszała się wściekłość i żal bezmierny rwącej się do życia młodości. Całą siłą chcieli przebić ściany tego więzienia i obłamywali sobie paznokcie o gładkie deski, zwilżone wodą, która zwolna wpływała ze wszystkich stron przez mało znaczne szczeliny.

O godzinie 10-tej wszedł Godard do malej obergery, położonej obok pałacu sprawiedliwości, gdzie oczekiwał na jego przybycie Elton.

W pół godziny później Anglik, pięknie uczesany, woniejący perfumami, w krawacie najnowszego fasonu à la lord Abercrombry, wkroczył do salonu pani de Contades i skorzystał zgrabnie ze sposobności, ażeby jej szepnąć do ucha:

— Panowie Lantéches i Marbeuf nie zaśpiewają już więcej wesółych piosenek na cześć obywatelki Bonapartel!

Zaśmiała się pani de Contades i podając Eltonowi gazetę ze stołu, rzekła:

— Nie zaśpiewa ich także ani Duroc, ani Brinville!

Anglik wziął gazetę do ręki i przeczytał:

„Pomiędzy walecznymi, którzy zginęli w nie-szczęśliwej potyczce pod Tortoną, ponosząc chlubną śmierć za ojczyznę, znajdowali się także oficer Brinville i kapitan Duroc. Otoczeni przez nieprzyjaciół, padli, ciężko i kilkakrotnie ranieni“.

— Nie napróżno Moreau wystął ich na stracone imię — szepnęła znacząco — umyślnie go o to prosiłam.

Cofnęli się w głąb salonu, ażeby nikt nie mógł posłyszeć ich rozmowy.

— Otrzymałem list od hrabiego Artois, w którym donosi, że kazał wszystko przygotować do wy-lądowania we Francji.

— Nie powinien, nie może przedzej przyjeżdżać—

rzekła pani de Contades — dopóki my nie załatwimy wszystkiego. Czy rozważyłeś pan dobrze wszelkie okoliczności i czy przygotowałeś sprawę tak, że gdyby nawet Dyrektoryat miał być nam przeciwny, to jeszcze zamach powieść się będzie musiał?

— O to nie ma obawy, Barras i Sieyès są za nami, a Ducosa będziemy mogli także nakłonić, wobec tego zaś Gohier i Moulins nie znaczą nic ze swemi dwoma głosami.

— Ja znów posiadam listę 280-ciu członków Rady Pięciuset, przyniósł mi ją dzisiaj Grandmaison; wszyscy sprzyjają księciu.

— Jak umyśliłaś pani przystąpić do dzieła?

— Jako pretekstu użyje się sprzysiężenia Jakobinów, wtedy zwoła się Radę Pięciuset, która jak panu to dobrze wiadomo, w takich razach powierza dyktaturę jednemu z generałów.

— Plan dobry, któż go pani dawał?

— Sieyès.

— Pokazuje się, że uczeni zawsze są najpożyteczniejsi przy wszelkich łótrwostwach formalistycznych.

Estella zaśmiała się lekko i mówiła dalej:

— Tym generałem-dyktatorem będzie oczywiście generał Moreau, który do tego czasu wojska swoje skoncentruje pod Rambouillet, albo też pod St. Germain. Dyktaturę posiadać on będzie przez dwa lub trzy miesiące, a czas to dostateczny do zmiany konstytucyi i wymuszenia uchwały, przywołującej Bourbonów z powrotem do kraju.

Elton skinął głową na znak, że plan ten naj-

zupełniej akceptuje, Estella zaś mówiła z ożywieniem:

— Hrabia Artois wylądował w Tréport, oczywiście z radością powitany przez ludność tamtejszą, która rada będzie, że się pozbywa bandytów republikańskich.

— Wszystko pomyślane wspaniale, wszelako zachodzi tu jedna trudność.

— Jaka?

— Czy wierzysz pani w to, że inni generalowie dadzą się pociągnąć?

— O to nie mam kłopotu, wiadomo bowiem, że oni poddadzą się, gdy rzecz cała będzie ukończona, tem więcej nie będą oponowali teraz, gdy najwybitniejszy z nich znajduje się dalego od kraju.

— W takim razie — zauważył Elton ponuro — jeszcze tylko przygotować nam trzeba listę osób, na których pomścić się godzi śmierć Ludwika XVI-go, również potrzeba kazać odnowić gilotinę.

Słowom tym towarzyszył uśmiech tak ochydny, że nawet pani de Contades wzdrygnęła się ze wstrętem.

ROZDZIAŁ VIII.

Dawne i nowe czasy.

Obiad u Grosrenarda mniej wzbudził wstrętu w Hektorze, aniżeli mógł przypuszczać na razie, wychodząc też z domu bogatego kupca mówił sam do siebie:

— Dobrze się stało, że ostatecznie rozpocząłem już tę kurację, prędzej bowiem, czy później, ma mnie przecież oblaskawić nadobna Alicya.

Armand, któremu zwierzył się ze wszystkiego, inaczej zapatrywał się na tę sprawę.

— *Parbleu!* — mówił — jabym się energiczniej wziął do rzeczy! Czegóż ty chcesz więcej? Uwalniają cię od wszelkich długów i dodają jeszcze piękną dziewczynę, dają słowo, że za tę cenę niejeden z nas pogodziłby się z rewolucją i z dzisiejszą formą rządu.

Hektor w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

Drugi obiad, na który proszony był Hektor, odbył się w Bois Meudon, pięknej posiadłości wiej-

skiej nad Sekwaną, gdzie Grosrenard zwykł był przepędzać najgorętsze miesiące w lecie. Młody arystokrata musiał przyznać, że urządzenie salonów jest pełne dobrego smaku, przedpokój zaś, wyłożony całym dywanem, odznaczał się nawet wyszukaną wykwinnością. Uśmiechnął się jednakże ironicznie i rzekł do siebie:

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszystkie te przepychy mój Grosrenard nabył na licytacji jakiegoś zamku.

Pomiędzy gośćmi, którzy przybyli wcześniej, napotkał Hektor dwóch kupców wina z Lotaryngii, krewnych gospodarza, dalej kilku młodzieńców, widocznie podwładnych, jakiegoś właściciela fabryki mebli, oraz ciotkę Alicyi, kobietę około lat pięćdziesięciu, o zachowaniu się przekupki ze straganów. Wszyscy ci parweniusze mieli ręce duże i twarde, wszyscy też majątku dorobili się w tych latach, kiedy we Francyi, jak piłką dzieci, rzucono pieniądźmi.

Hektor usiadł przy stole z pewnością siebie taką, jak gdyby on jeden tylko był naprawdę „przyzwoitym“ człowiekiem w tem gronie. Nie starał się nawet ukryć przed otoczeniem lekceważenia swojego.

Wszystko, co mówił, miało odcień tej wyższości, czego nie rozumieli wszyscy, ale rozumiała doskonale Alicya, nie spuszczaająca z niego oka. W rozmowie z Grosrenardem wesoły był, dowcipny, nawet wyuzdany, przesadnie też chwalił wino Roussillon, którego gospodarz nie żałował.

Słyszac to, jeden z handlujacych winem zawołal wesoło:

— Ho, ho! niechajbys tylko spróbowal naszego wina wyhodowanego w Epernay, obywatelu! to woda w porównaniu z naszem! Pomimo to sprzedaje litr tylko po dwadzieścia sous.

— Czyż istotnie zawsze tylko po dwadzieścia sous? — zapytał Hektor poważnie.

— Ależ naturalnie! nigdy więcej nie biore!

— W takim razie zwróć się do pana w razie potrzeby, panie Dubois, albo raczej obywatelu Dubois. Przecież podług twierdzenia „Moniteura“, żyjemy w wolnem państwie, gdzie nie ma żadnych „panów“. Ponieważ zaś najprawdopodobniej blizką już jest chwila ślubu mojego, skutkiem czego w nowe a rozległe wejść stosunki rodzinne, przeto z góry mianuję pana moim dostawcą nadwornym, jeżeli oczywiście za używanie takiego tytułu prawa Rzeczypospolitej nie karzą gilotyną.

Dubois się zaśmiał, chociaż sam nie wiedział, czy słów młodego arystokraty nie uważać za pochlebstwo, Grosrenard zaś zmarszczył na chwilę brwi.

— Dzięki Bogu — rzekł trochę wyniośle — żyjemy w państwie, gdzie już nie ma tytułów i herbów i gdzie każdy człowiek może najwyższych nawet dostąpić zaszczytów, robiąc użytek dobry z praw, danych mu przez naturę.

— Widzę, że pan dobrze i z pożytkiem odczytałeś „Emila“ Rousseau’a — rzekł Hektor, spoglądając na gospodarza domu, podczas gdy Alicya przygryzła usta.

Przy końcu obiadu całe towarzystwo czuło się zwarzone; Hektora, który do końca nie zaprzestał swoich wycieczek satyrycznych, coś gniewało i drażniło ustawicznie; czuł on, iż nie potrafił się dostroić do tej sfery ludzi, pomimo, że zadawał sobie trud w tej mierze, ażeby zyskać względy Alicyi. Nawet anegdoty, które sypał jak z rękawa, a które w gronie młodzieży jemu podobnej wywoływały szczere wybuchy śmiechu, nie robiły najmniejszego wrażenia wśród tych ludzi; nie interesowali się oni wyścigami, ani też nie bywali na przedstawieniach opery.

Kupcy zaczęli z Grosrenardem rozmowę o polityce, która ich rozgrzała do tego stopnia, że jeden z nich wstał i wznosił toast na cześć dyrektorów: Barrasa i Sieyèsa, podnosząc ich zasługi około podniesienia handlu, dzięki zawiązaniu stosunków ze Stanami Zjednoczonymi.

Całe towarzystwo powstało, jeden tylko Hektor nie ruszył się z krzesła i rzekł zimno:

— Nie piję zdrowia królobójców!

Jeden z gości miał już odpowiedź gwałtowną na ustach, ale powstrzymał go Grosrenard, kładąc mu rękę na ramieniu, i kilku żartobliwemi uwagami zażegnawszy sytuację, która stawała się wielce drażliwą.

Po obiedzie wszyscy udali się do parku, gdzie w pięknym pawilonie zastawiono kawę. Grosrenard pokazywał gościom całą posiadłość, oprowadzał ich po wspaniałych alejach, trochę opuszczonych, jak gdyby oddawna nie mieszkali tutaj właściciele.

— Wszystko to kupilem w ubiegłym Termidorze

zupełnie wypadkowo — opowiadał gospodarz. — Pewnego dnia byłem u obywatelki Bonaparte...

— To pan ją znasz? — zawołał Hektor, przerywając.

Bogaty przedsiębiorca zaśmiał się szczerze.

— Nietylko znam trochę, ale znam ją nawet dobrze! Otóż przed rokiem powzięła ona zamiar kupienia sobie jakiejś posiadłości na wsi i właśnie ta była do nabycia. Zaproponowałem jej przeto kupno i kiedy zdawało mi się, że obywatelka Bonaparte zgadza się już, zakupilem Bois-Meudon. Proste nieporozumienie, ona bowiem cofnęła się później, musiałem dla niej wyszukać Malmaison, które dotychczas posiada, ja zaś wybudowałem sobie tę willę i wcale tego nie żałuję.

— Dlaczegoż pani Bonaparte cofnęła się następnie? — zapytał Hektor.

— Było to dla niej za drogie — odparł Grosrenard spokojnie, z tą dumą dorobkiewicza, który pokazuje, że on pozwolić sobie może na zbytek, na jaki nie stać generałową Bonaparte.

Hektor nie pytał się więcej, ale przybliżyła się do niego Alicya i zaczęła przyciszonym głosem objaśniać, jakie stosunki łączą ojca jej z rodziną Bonaparte.

Kiedy 10-go Termidora ówczesna wdowa Józefina Beauharnais, po upadku Robespierre'a, uwolnioną została z więzienia, przedewszystkiem nie posiadała żadnego dachu nad głową i żadnych środków do życia, za wstawiennictwem przeto jednego z przyjaciół, Grosrenard odstąpił jej lokal we własnym domu i pozwolił przez kilka miesięcy przemieszkać

spokojnie. Tej przystugi wielkiej nie zapomniała mu bogata następnie i potężna generalowa Bonaparte, nietylko też ułatwiała mu różne interesa handlowe, ale jeszcze obcowała z Alicją i chętnie przyjmowała u siebie. Może też w całym Paryżu nie było gorętszych wielbicieli i zwolenników generała nad rodzinę Grosrenardów.

Wszystko to opowiedziała Alicja młodemu arystokracie gdy wolno szli aleją parku, oddalając się od reszty towarzystwa. Serce żywiej zabiło Hektorowi, gdy w cieniu drzew ujrzał się sam z piękną dziewczyną, uchwycił też ją za rękę i przyciskając do ust swoich, zapytał czule:

— Czy zadowolona jesteś pani ze mnie? Kazałaś, więc przyszedłem.

Alicja wyrwała rękę i przystanawszy nagle, gniewne rzuciła spojrzenie:

— Zachowałeś się pan dzisiaj szkaradnie! — zawołała wzburzona.

— Ja? Dlaczego?

— Drwiłeś sobie z nas ustawicznie, a czy pan sądzisz, że się na tem nie potrafimy poznać?

— Wybacz pani, ale gdy pan Dubois nie ma innego tematu do rozmowy, jak tylko wina swoje, to trudno się nie stać satyrykiem.

— Więc nasze towarzystwo ma poglądy, które śmiesznymi wydają się panu? — mówiła gniewnie, a drobne żyły na czole wzbierały krwią.

Hektor starał się obrócić to w żart:

— Ach Boże! gdybyś pani wiedziała, jak pięknie wyglądasz z tym gniewem w oczach!

— Proszę odpowiedzieć na moje pytanie! Raz

przecież mógłbyś się pan zdobyć na powagę. W tych sferach, w których pan się obracasz, nie ma nic świętego, nie ma żadnej wiary w ludzi, wy tylko umiecie wyśmiewać wszystko i wszystkich.

— Wyśmiewamy nawet wino z Epernay po dwadzieścia sous — przerwał wesoło.

— Dlaczego zatem starałeś się pan do mnie przybliżyć? Czego szukałeś? Czy awanturki tylko? Proszę powiedzieć mi otwarcie.

— Nie umiem kłamać, panno Alicyo, przyznaję też, że tak było.

— Ja znów przyznaję się panu, że jeżeli zgodziłam się na schadzkę, to tylko dlatego, że... że... — tu głos jej zaczął się łamać, poczem dokończyła śpiesznie — że mi się pan podobałeś, że widziałam w panu coś lepszego, aniżeli w ludziach przeciętnych. Niestety! widzę teraz, że to były tylko złudzenia.

— Alicyo — zawołał, chwytając ją ponownie za rękę — i cóż mam uczynić, ażeby ci dowieść, że nie były to z twojej strony złudzenia?

— Przedewszystkiem wymagam, ażebyś pan zerwał stosunki z Faubourg St. Germain i ażebyś starał się nie widzieć więcej pani de Contades! — zawołała energicznie.

— Niczego więcej nie żądasz pani? — zapytał z ironią.

Ona zaś odpowiedziała poważnie:

— Czy pan to uczynisz?

— A gdybym odmówił?

— W takim razie nie zobaczymy się więcej i wszystko pomiędzy nami skończone.

— Zanadto jesteś pani wymagającą.

— O! nie, jestem tylko dumną i chcę, ażeby mnie poważano tak, jak na to zasługuję.

— Nie mogę przecież zrywać z ludźmi, którzy z wychowania i zapatrywań są mi najbliżsi.

— Powiedz pan raczej: z ludźmi, którzy mi szkodzą, którzy jad wsączają w duszę moją!

— Pani!

— Panie! A więc dobrze, wiedz pan, że widzieliśmy się po raz ostatni.

Alicya powiedziała to napozór pewna siebie, ale wprawne oko Hektora dojrzało, że było to tylko udanie, że ona drżała na całym ciele, że walczyła w niej duma z miłością. Nagle uchwycił też ją wpół, przytulił do siebie i całować zaczął gorąco. Pocalunki te złamały całą silną wolę dziewczęcia, bezwładna też powtarzała w jego ramionach:

— Ach Boże! co pan robisz!...

— Kocham cię, kocham nad życie! i po cóż mamy męczyć siebie dłużej, sprzeczać się z sobą, zatruwać sobie życie? Przecież oboje wiemy, że łączy nas miłość. Jesteś tak piękną, powiedz mi przeto, że mnie kochasz i nie mów nic więcej.

— Kocham — wyszeptała, on zaś pociągnął ją ku ławce z mchu, opasującej dąb szeroki i objawwszy jej kibić, patrzył w napół przymknięte oczy.

— Nie mów teraz nic więcej — powtórzył szeptem — zanedto jesteśmy szczęśliwi w tej chwili. Gdybyś przemówiła, to znów wszystko, co złe, stałoby pomiędzy nami, świat, ludzie i całe to życie głupie. Pocaluj mnie i powiedz, że kochasz.

— Kocham cię, Hektorze! — mówiła bezprzymnie,

Cisza panowała wokoło, nawet blask słońca nie przerywał tego upojenia i zdawało się zakochanym, że niebo i ziemia i drzewa i kwiaty wtórują ich pieśni miłosnej, że stoją jak zakłète, nie poruszając liśćmi, nie drgając konarami. W pewnem oddaleniu widać było zwierciadło wód Sekwany, ale i ta była spokojną; nie posuwał się żaden statek, ani czółno.

Za szybko, za gwałtownie zjawilo się to szczęście przed nimi, słyszeli też bicia serc swoich i tonęli w rozkoszy miłosnej.

Pierwsza powstała Alicya i trzymając rękę w jego dłoni, zapytała cicho, patrząc mu głęboko w oczy:

— Czy ty mnie nigdy nie zapomnisz, nigdy? Czy nie żartujesz sobie nawet w tej chwili, jak zwykłeś żartować sobie ze wszystkiego?

— Dziecko moje! — odparł poważnie, a twarz jego okolił wyraz melancholii — czy tobie się zdaje, że ja należę do tych szczęśliwców, którzy nawet uczuciami bawią się ludzkiemi? Ah, gdybyś ty wiedziała, jak bardzo i jak często bywałem nieszczęśliwy przy całem pozornem szczęściu mojem! Burzyło się coś we mnie, krzyczało rozpaczliwie, skarżyło się, a ja wtedy zagłuszyć pragnąłem te głosy za jakąkolwiek cenę.

Alicya nigdy nie widziała go takim; inaczej wyglądał teraz ten człowiek, gdy tak przemawiał do niej.

— Wiedziałam, że nie jesteś szczęśliwy — rzekła po długiej przerwie — ale nieszczęścia te źródło swoje mają w życiu, jakie prowadziłeś dotychczas.

Odtąd zmieni się wszystko na lepsze, gdy tylko moim będziesz wyłącznie.

Słowa te otrzeźwiły Hektora; jak ze snu zbudzony, potarł ręką czoło i rzekł, ponuro spoglądając w ziemię:

— Nigdy nie będziemy mogli należeć do siebie.

— Dlaczego?—zawołała przerażona.

— Kobieto! zrozumiej to nareszcie, że po tej propozycji, jaką uczynił twój ojciec, nikt nie uwierzyłby w miłość prawdziwą, ale każdy przypuszczałby raczej, że moje nazwisko i moje stanowisko w świecie sprzedałem panu Grosrenard, a wtedy nie miałbym wstępu do ludzi mojej sfery.

Alicya w pierwszej chwili nie rozumiała tych słów, nigdy bowiem ojciec jej nie zwierzył się przed nią, że miał jakieśkolwiek zamiary względem pana de Laringuet, stanęła przeto blada i bezradna w alei cienistej.

Kiedy jednak pojęła całą ohydę transakcji, wstrząsnęła się żywo i w duchu przeklinała ojca, który z niej zrobił tylko przedmiot spekulacji kupieckiej. Zapomniała biedna, że przecież w ten sposób zwykł był zawsze pan Grosrenard załatwiać interesa handlowe.

Teraz jednakże rozumiała postępowanie Hektora i tę dumę, którą tak widocznie objawiał podczas obiadu, rozumiała także, iż razić to musiało delikatność uczuć młodego szlachcica, a w głowie jej powstał chaos, z którego nie umiała zdać sobie sprawy. Jak gdyby grom w nią uderzył, stała wobec

Hektora i w głowie jej przewijały się tysiączne pytania, na które nie znalazła odpowiedzi.

Z tego osłupienia wyrwał ją bezdźwięczny prawie głos Hektora:

— Alicyo! cokolwiek się stanie, ty mnie nie opuścisz przecie. Zginąłbym bez ciebie, bo odkąd ciebie poznałem, znów uwierzyłem w szczęście i znów życie urok ma dla mnie. Twoje uczucie, to nie komedya, grana przez wielkich aktorów, ale szczere poddanie się miłości. Ileż to razy po nocach niewyspanych, strawionych w rozpasaniu, szukałem po drodze kościoła, gdzie mógłbym się Bogu Przedwiecznemu rzucić do stóp i błagać Go i modlić się gorąco o zmiłowanie! Niestety! jedne kościoły zburzyła rewolucya, a drugie zamknięto przed tłumem; państwo dzisiejsze wypędziło Boga z kościołów, ale nie wypędziło go z serc naszych i teraz każą nam wierzyć, że nie Stwórca, ale natura jest naszą panią wszechwładną.

Hektor zaśmiał się boleśnie, ale śmiech to był nie światowca, nie lwa salonów, i dziwnie brzmiał on w tym parku, gdzie wszystko zdawało się nastrajać do hymnu wielkiego, do poezyi.

Młode dziewczę, słysząc go mówiącego w ten sposób, patrzyło na niego z trwogą, Hektor zaś mówił dalej:

— Nie znajdując ukojenia w świątyniach Pańskich, szedłem między rozbawione tłumy, do domów gry, do *Palais Royal* i chciałem zagłuszyć wszystko w sobie, ażeby nareszcie zasnąć spokojnie. I cóż miałem czynić innego i w cóż miałem wierzyć, skoro filozofowie wszystkie najlepsze części naszej du-

szy starali się zgnieść, zmiażdżyć? Dla kogo miałem walczyć, dla kogo pracować, dla kogo żyć wreszcie? Od lat dziesięciu patrzyłem na orgie i widziałem, że niema ludzi pomiędzy nami, widziałem, że każdy pragnie się upoić, każdy pragnie spać, a po wyspaniu znów oszołamia się dalej i dalej. Taką jest treść życia wszystkich i takim ja jestem.

Hektor mówił to z egzaltacją nerwową, jak gdyby do siebie, nie do niej, kierował słowa, oczy jego błędne zdawały się nie patrzeć na drzewa i krzewy, ale tonęły w jakimś zaświece.

Kiedy też skończył, zaległa cisza zupełna.

Nagle zerwał się, obejrzał wokół i znów odezwał się drwiąco:

— Widzisz teraz, Alicyo, że nie jestem wart twojego zajęcia się moją osobą; prędszej, czy później opuścisz mnie przecież! któraż kobieta potrafi być wierną?

Alicya łyzy miała w oczach, gdy nagłym ruchem pochwyciła rękę Hektora.

— Może w waszej sferze bywają kobiety niewierne—zawołała—ale ja życie swoje oddam zawsze, ażeby uratować twoje! Widzę, że jesteś nieszczęśliwy i cierpisz, więc muszę ci dopomódz.

Nie odpowiedział nic na to i pocałował ją w milczeniu, ona zaś przegięła się wpół i szepnęła:

— Jak ja cię kocham, Hektorze!...

— Cicho, cicho, nadchodzą.

Poprzez gałęzie drzew migotały postacie ludz-

kie, reszta bowiem gości przechadzała się właśnie nad Sekwaną.

Wolno i w milczeniu Alicya z Hektorem udali się aleją ku reszcie towarzystwa, a szczególnie młodemu dziewczęciu przyszloby trudno przemówić cośkolwiek, chociaż bowiem nie wierzyła wszystkiemu, co mówił przed chwilą, to jednak słowa jego zastanowiły ją bardzo. Wiedziała przytem, że ma przed sobą człowieka rozstrojonego zupełnie i usposobionego chorobliwie. Podług jej mniemania na dnie tego rozstroju musiała się znajdować kobieta, tą kobietą zaś nie mógł być nikt inny, jak tylko pani de Contades.

Alicya najgorsze miała wyobrażenie o tych sferach, w których obracał się Hektor, czuła też instynktownie, że pani de Contades zdolną jest do wszystkiego, ażeby omotać ofiarę swoją, i w tej chwili postanowiła sobie za jakąbądź cenę ratować Hektora przed zgubnymi wpływami tej kobiety.

Kiedy znów znaleźli się w towarzystwie, Alicya dostrzegła, że ojciec badawczo spogląda na swego zięcia domniemanego i to właśnie uczyniło ją niespokojną i niepewną siebie.

Grosrenard jednak nie dał ani jednym słowem poznać, że się domyśla zwierzeń miłosnych, przeciwnie, zdala już zawołał ku Hektorowi:

— Czy słyszałeś pan coś podobnego? W całym mieście opowiadają o sprzysiężeniu rojalistycznym! Rada Pięciuset podobno zamierza Bourbonów znów sprowadzić na tron francuski?

— Zkądże ja miałbym wiedzieć o takich zamiarach?—odparł Hektor obojętnie.

— Sądziłem, że pan, który obracasz się w tych sferach...—zauważył Grosrenard podejrzliwie.

— Ja?! Może i mnie pan masz za jakiego spiskowca?

Młody szlachcic zaśmiał się głośno, on, który doskonale wiedział, co się dzieje u pani de Contades, dodał też wesoło:

— Już to panu powinno dobrze być wiadomem, co śpiewa mamselle Angot:

Pour conspirer
Il faut avoir
Un collet noir.

— Niestety! ja nawet czarnego kołnierza nie posiadam i, jak pan widzi, żadnych kwalifikacyj nie mam na spiskowca.

Tak głośno, tak szczerze zaśmiał się Hektor, że gdyby nawet ktośkolwiek miał jakieś podejrzenie, to musiałoby ono prysnąć.

Alicya ze zdumieniem patrzyła na tego człowieka, który do niedawna tyle miał melancholii w głosie, a teraz tyle pustoty i rozpasania.

ROZDZIAŁ IX.

Cztery wyrazy angielskie.

Piękny i pogodny był wieczór wrześnieowy, gdy sir Hugh Elton, spokojny i zadowolony, kroczył przez bulwar Montmatre ku bulwarowi du Temple.

Anglik miał wszelkie powody być zadowolonym zupełnie, wszystkie bowiem jego raporty, przesyłane do Londynu, zwiastowały zupełne zamieszanie w wewnętrznych stosunkach francuskich, zamieszanie, które obejmowało nawet władzę Dyrektoryatu. Wszystko to zapowiadało katastrofę niechybną. W Szwajcaryi i we Włoszech wojska francuskie poniosły klęskę, naród francuski upominał się o głowę państwa, któraby potrafiła wyrwać wszystkich z tego chaosu; na zebraniach publicznych w Clichy i Rambouillet wyraźnie żądano przywrócenia władzy królewskiej.

Od kilku dni bawił generał Moreau w Paryżu. Na obiedzie u dyrektora Sieyèsa spotkał się on z panią de Contades, gdzie omówiono podstawy nowej konstytucyi, któraby po upadku Dyrektoryatu zastąpić

miała obecne prawodawstwo. Postanowiono też, że mniej więcej przy końcu Vendemiaire'a uczyniony będzie krok stanowczy, przynaglający Radę Pięciuset.

Miał więc zupełną rację Elton być zadowolonym, wszystko na najlepszej znajdowało się drodze, a nowa rewolucya stać się musiała salamandrą, która we własnym spali się ogniu. Nowy to tryumf dla Anglii, która lonty zapaliła już we wszystkich królestwach i wyspach, dziedziczonych przez Francję.

— Niechaj świat cały się zapadnie, byleby Anglia była wielką i potężną.

Tak mówił do siebie wysłannik ministerjum londyńskiego.

Wzorem każdego wilka morskiego, Elton nie znał żadnego przykazania, kto silny, ten rację zawsze ma za sobą, kto obezwładniony, ten zawsze może być bitym. Słabego niechaj silny złupi, niechaj go okradnie, bo taki jest los niemocy w polityce.

Elton wolnym krokiem zbliżał się ku bulwarowi du Temple, gdzie zabawy ludowe, często wstępne, a zawsze dla oka niemiłe, budziły dużo dla Anglika interesu. Herkules w namiocie cyrkowym, atleci, linochodzi, lwy afrykańskie — wszystko to nie nudziło Anglika, dla którego jedynie to, co imponuje siłą i muskulami, godne jest podziwu.

W bliskości placu, gdzie jeszcze przed dziesięciu laty stała Bastylia, wszystko istotnie miało taki pozór, jak gdyby jarmark odbywał się tu ustawicznie. Krzyki i nawoływania, przeraźliwe bicia w bę-

ben, pomieszane z popisami na skrzypcach i fletach, nie ustawały ani na chwilę, miały zaś służyć jako przynęta do odwiedzania bud, skleconych z drzewa. Tu rodzaj kawiarni, czy sali koncertowej, tam „cyrk rosyjski,“ ówdzie dziwo natury, to znów szkieleł wieloryba i różne inne osobliwości.

Anglik przystanął przed namiotem, za którym umieszczono arenę pod gołym niebem; zapłacił cztery sous za wejście i poszedł do pierwszych rzędów.

Jeden z kuglarzy rzucał w tej chwili noże, podczas gdy drugi piął się na piramidę szklaną; równocześnie przez drzwi, umieszczone na wprost wejścia, wpadł trzeci kuglarz, przebrany za kłowna. Publiczność podniosła się natychmiast z miejsc i wydawać zaczęła okrzyki radości, rzucać na kłowna piaskiem i trocinami, on zaś sam wyglądał zmęczony, w ubrańniu pełnem pyłu i kurzu,

Elton popatrzył bacznie i zdumiał się niezmiernie, zdawało mu się bowiem, że on zna tego człowieka. Kłown równie bacznie przyglądał się Anglikowi i uczynił ruch, jak gdyby chciał się wprost udać do niego. Nie było to rzeczą łatwą, tłum bowiem zapierał drogę. Wobec tego kłown nagle podskoczył i wywijając kozła w powietrzu ponad głowami zebranych widzów, stanął tuż przed Eltonem.

Teraz Anglik poznał w kłownie jednego z najwierniejszych swoich pomocników, rodaka Willa Bartona, którego niejednokrotnie używał do najcięższych, a wymagających tajemnicy zleceń.

Barton należał do jednej z tych koczowniczych trup akrobatycznych angielskich, które oprócz wła-

ściwych czynności swoich, jeszcze wyświadczały wielkie usługi policyi angielskiej.

Zrozumiał Elton, że akrobata coś bardzo ważnego musi mu mieć do zakomunikowania.

Kłown ujął natychmiast pod ramię Eltona i ciągnął go ku drzwiom wchodowym.

Tłum oburzony, zaczął wydawać gniewne okrzyki, ale silne pięści dwóch Anglików utorowały im drogę.

— Powiedz prędko, o co chodzi — rzekł Elton, gdy się znaleźli po za areną.

— Nic więcej nad to — odparł Will; pośpiesznie przeszukując kieszenie swoje. — Papier ten oddał mi Withcomb w Marsylii i powiedział, że jest nadzwyczaj pilny. Pędziłem też jak wiatr, zmieniając ustawicznie konie, dalej nie miałbym już sił jechać, śmiertelnie jestem zmęczony.

Elton rozerwał kopertę i poznał pismo przyjaciela swego Withcomba, również agenta, wysłanego przez Pitta do Francji. W liście znalazł tylko cztery wyrazy:

„Baczność — pantera powraca wolna!”

Jak gdyby piorun uderzył nagle w Eltona. Panterą nazywali zazwyczaj agenci angielscy generała Bonapartego, którego w Egipcie zamknęła ze wszystkich stron flota angielska.

Bonaparte zatem uniknął zasadzki, wyszedł szczęśliwie i kto wie, czy nie wylądował już we Francji.

Elton uchwycił Bartona za rękę i potrząsając nią, pytał niespokojnie:

— Mów, może wiesz coś więcej nad to! Ten

list nie jest dość jasny, co się tam stało właściwie?

Akrobata wzruszył ramionami i mówił:

— Do Marsylii przybyłem w dniu 28 bieżącego miesiąca; mieliśmy tam dać parę przedstawień. W porcie czekał już na mnie sir Withcomb, który dopiero przed chwilą przybył z Korsyki.

— Z Korsyki?—zapytał Elton zdumiony.

— Tak jest, z Korsyki. Powiedział mi też, że właśnie, kiedy chciał okrążyć Korsykę i wyruszyć z Ajaccio, ujrzał dwie fregaty, nadjeżdżające z Egiptu. Jedna nosiła nazwę „Muiron,” druga „Carrière.”

— I cóż dalej?

— Na jednej z nich siedział Bonaparte, którego Withcomb dojrzał zblizka.

— Niechaj piorun trzaśnie!

— Nad ranem zmienił się kierunek wiatru i obie fregaty nie mogły dalej płynąć. Sir Withcomb natychmiast najął sobie szalupę i szczęśliwie przedostał się na brzeg, szczęśliwie także dostał się do Marsylii, gdzie oddał mi ten list z rozkazem, ażebym natychmiast wyjechał do Paryża. Przez trzy dni byłem w drodze i chyba mój wygląd świadczy, ile trudu poniosłem w podróży.

Wistocie twarz Willa aż nadto dawała poznać niezmiernie zmęczenie.

— Zasłużyłeś sobie sumiennie na wynagrodzenie—bąknął Elton i natychmiast dodał:

— Gdzie jest teraz Bonaparte?

— Prawdopodobnie dotąd znajduje się w Ajaccio, gdy bowiem zacznie już dąć wiatr z północy, to wtedy podróż trwa pięć do sześciu dni.

— Czy dotąd nikt nie domyśla się jego przybycia?

— Nikt! Ja w drodze nie wypuściłem pary z ust.

Zadumał się Elton i rozważać zaczął całą tę wiadomość niespodziewaną. Przebiegły Anglik zrozumiał odrazu, że wszystko, co dotąd zdziałał w Paryżu, może się obrócić wniwecz, szukał też w głowie środka przeciwko tej klęsce.

— Słuchaj, przyjacielu—rzekł łagodnie, kładąc rękę na ramieniu Bartona. — Musisz się przygotować do ponownej takiej podróży. Dziś wieczorem jeszcze musisz wyruszyć.

Akrobata smutnie zwiesił głowę, co widząc Elton, dodał pośpiesznie:

— Nie kłopotz się, kochany Willu, sowicie ci za to zapłacimy. Wieczorem staw się w budynku pocztowym przy Point du Jour i czekaj na mnie.

— A jeżeli do północy nikt się nie zjawi?

— W takim razie będziesz mógł pójść na spoczynek.

Barton pochylił głowę na znak zgody i wrócił na arenę cyrkową, Elton zaś natychmiast zawołał dorożkę i przykazał śpiesznie podążyć do domu pani de Contades.

Estella de Contades przyjmowała właśnie w dniu tym małe kółko przyjaciół na tarasie ogrodowym, a pomiędzy gośćmi znajdowali się także pani de Staël, markiz Champfleury, Hektor i kilku innych przyjaciół domu.

Całe towarzystwo bawiło się wybornie, do czego przyczyniał się ciepły, pogodny wieczór jesienny ze

wszystkimi czarami swojemi. Gwarzono wesoło, rzucano dowcipy, opowiadano sobie o wypadkach dnia z tą swobodą i sztuką zarazem, jaka cechuje ludzi lepszego towarzystwa i której nauczyć się trudno.

W tej chwili właśnie służył Hektor za główny przedmiot rozmowy, nie szczędzono mu też drobnych przycinków, ku czemu dawało powód jego zachowanie się w ciągu ostatnich kilku tygodni.

— Przypuszczaliśmy już tutaj, że pan zupełnie wyemigrowałeś z Paryża—rzekła pani domu—szukaliśmy wszędzie, ale nie mogliśmy znaleźć. Na szczęście wiemy nareszcie, gdzie się nasz zbieg chował tak długo.

— Taki zbieg z pod chorągwi naszej powinien być surowo ukarany—zaśmiał się jeden z młodzieży—podczas gdy drugi dodał:

— Hm! trzy miliony—to nie bagatela!

— I w dodatku tytuł dostawcy domu państwa Bonaparte!

Champsfleury szepnął do ucha sąsiada swojego:

— Pardi! Któż inny, jeżeli nie taki Grosrenard mógłby zapłacić wszystkie długi naszego Larin-gueta!

Hektor spokojnie słuchał tych wszystkich docinków i nareszcie rzekł na pół poważnie, na pół drwiąco:

— Spodziewam się, że niema tu pomiędzy nami nikogo, ktoby przypuszczał, że oddając kobiecie swoje serce, traci się równocześnie swoją tarczę herbową.

— Jesteś pan na najlepszej drodze — odrzekła pani de Contades, niedbale poprawiając kameę we włosach — naturalnie, że musisz przecież mieć ku temu powody.

— Powody moje są tego samego rodzaju, jakie miał przyjaciel mój, Descamps, gdy przyjmował służbę u Rzeczypospolitej.

— Zawsze niepotrzebnie wymawiasz pan to nazwisko — zawołała Estella wzburzona — co zdarzało się zwykle, gdy ktośkolwiek wymienił Descamps. Jeżeli sobie tego człowieka bierzesz za wzór, panie Hektorze, to radzę ci być ostrożnym — dodała z przebłyskiem gniewu w oczach — poczem zapytała złośliwie:

— Czy nie zauważyłeś, że w mieszkaniu tego Grosrenarda pachnie trocinami?

— Bardzo to ożywczo działa na moje płuca — odparł Languet.

Podrażniona do najwyższego stopnia tą zimną odpowiedzią, pani de Contades wstała i rzekła:

— Raz nareszcie musisz się pan zdecydować: czy mój dom jest ci przyjemniejszy, czy też warsztat tego parweniusza.

Hektor nie odpowiedział nic, Estella zaś odzyskała spokój i rzekła z uśmiechem złośliwym:

— Nie zdziwię się, gdy pan wybierzesz to drugie. Teść nie będzie żałował pieniędzy, chociaż, jak słyszę, umie on dobrze liczyć, ale zięciowi swemu już co najmniej dawać będzie sto franków na miesiąc na osobiste wydatki. Co dzień na obiad dadzą ci *ragout* z baraniny, które wolno ci będzie popić winem kwaśnem. Potem żona zaśpiewa jakiś duet

chłopski z ojcem, a pan będzie musiał bić oklaski. Wieczorem w kółku rodzinnem zagracie sobie partyjkę l'hombre'a. Ach! jakie to wszystko ładne!...

Słowa te wzbudziły wybuchy śmiechu, wszystkim bowiem wysoce komicznym wydał się elegancki Laringuet w takim towarzystwie rodzinnem.

Hektor zaczerwienił się silnie, spostrzegł też, że to go spotkało, czego bał się najwięcej: ośmieszono go w towarzystwie.

Pani de Contades patrzyła na niego wielkimi, pociągającymi oczyma, a piękniejszą i ponętniejszą była, niż zwykle. Woń, którą rozlewała wokół, swoboda ruchów, dar czarujący prowadzenia rozmowy i wielka pewność siebie, zawsze przyciągały ku niej Hektora. Było w tej kobiecie coś nieuchwytnego, ale takiego, że odróżniało ją od wszystkich. Nie można było porównać jej z żadną inną kobietą, widział też Hektor, że wobec pani de Contades portret Alicyi blaknie zupełnie.

A jednak i teraz jeszcze, po tych docinkach, czuł, że jedynie miłość może dać mu szczęście w życiu, że przez Alicję może być uratowany. Tamta nie posiadała tego umysłu wyższego i tego daru pociągania ku sobie, otoczenie jej było małomieszczańskie, ona zaś sama pełna przesądów republikańskich, a przecież smutno mu bez niej...

Młody Laringuet porównywał te dwie istoty, ale nie mówił nic więcej.

Przykrą tę dla Hektora chwilę przerwał jeden z młodzieńców:

— Wojna papierowa Davida z Chénierem trwa w dalszym ciągu, jeden i drugi zarzucają sobie teraz

wzajemnie, że dawniej czolgali się u nóg Robespierre'a. Ładna banda ci wszyscy republikanie!

Gospodyni domu pogardliwie wzruszyła ramionami, podczas gdy pani de Staël rzekła:

— Teraz każdy z nich radby zmyć z siebie plamy krwi 93-go roku, ale już zapóźno.

— A propos—zawołał Champfleury—dlaczegoż to nie widzimy teraz u pani Morelleta?

Uśmiech zaigrał na ustach pani de Contades, gdy odpowiadała:

— Zanadto się przyzwyczailam do jego towarzysztwa i nawet zdawało mi się przez pewien czas, jakobym bez niego nie mogła się obejść. Nie znoszę tego rodzaju uczucia i wolę zupełnie nie widywać kogoś, aniżeli ulegać jakimśkolwiek wpływom...

Nie dokończyła jeszcze wszystkiego, co chciała powiedzieć, gdy lokaj zgrabnie i pocichu zawiadomił ją o przybyciu Eltona.

Anglik nie chciał wejść wobec całego towarzysztwa i prosił o rozmowę w małym salonie.

Pani de Contades zrozumiała odrazu, że zajść musiało coś bardzo ważnego, zdumiała się zaś zupełnie, ujrawszy zwykle spokojną twarz Eltona tym razem przygnębioną; zachowanie się też jego uwidoczniło wzburzenie zewnętrzne.

— Co się stało, mów pan?

— Bonaparte jest we Francyi!

Anglik słowa te rzucił przez zęby, jak gdyby ciężko mu przychodziło wyznać taką klęskę.

— Co?... co?... to niepodobna!

Pomimo całego panowania nad sobą, zbladła pani de Contades i oboje patrzyli sobie w oczy przy-

gnębieni zupełnie. Zbyt rozumni byli to ludzie, ażeby nie pojąć natychmiast, czem jest przybycie Bonapartego dla ich planów, tak pięknie wysnutych.

— Czy to wiadomość pewna? — zapytała pani de Contades cicho.

— Najzupełniej pewna; otrzymałem ją w tej chwili od jednego z agentów moich, który przez trzy dni pędził z Marsylii, ażeby mnie o tem zawiadomić. Bonaparte opuścił Egipt, przepłynął szczęśliwie obok całej floty naszej i wylądował w Ajaccio na Korsyce.

— Dlaczego tam właśnie wylądował?

— Wiatr północny powstrzymał go w drodze.

— Gdzież się znajduje teraz?

— Prawdopodobnie bawi jeszcze w Ajaccio.

Pani de Contades odetchnęła głęboko i zawołała uszczęśliwiona:

— Ah! To nasze szczęście!

Nie mówili nic do siebie więcej, Estella zamyśliła się głęboko, ale nagle podniosła głowę i rzekła z mocą:

— On nie powinien stanąć we Francyi!

— Tego samego i ja jestem zdania, musimy zatem szybko działać, żeby odparować cięcie, które mogłoby nam zupełnie popsuć szyki. Cała nadzieja moja w tem, że w tej chwili nad brzegiem Prowancyi znajduje się siedm okrętów angielskich.

— Nie rozumiem pana.

— Trzeba im dać znać natychmiast, ażeby Bonapartego pochwyciły w swoje szpony, a ten rozkaz pani tylko możesz wydać. Admirał nasz, Jerzy Straford, wie, że pani jesteś upęłnomocnioną przez ministra naszego.

Natychmiast pobiegła do stolika i rzekła:

— Masz pan słusznorć, jedyny to środek ratunku.

— Jeżeli Bonaparte, chociażby tylko przez cztery dni zatrzyma się w Ajaccio, to nie ujdzie rąk naszych—zawołał Elton—trzeba się jednakże śpieszyć! Dziś 30-go września, posłaniec mój wyruszyć musi jeszcze w nocy, a 4-go października będzie już na miejscu.

— Musi się nam powieść—dodała pani de Contades — i natychmiast pisać zaczęła list do admirała Strafforda.—Byłoby to straszne, gdyby ten człowiek miał się pojawić w Paryżu, jest on dumny, żądny władzy i ma szczęście.

— Trzeba go zatem usunąć, a gdy się dostanie do niewoli angielskiej, to już przeszkadzać nam tu nie będzie.

— Dyabeł, nie człowiek — mruknęła przez zęby. — Nelson na całym morzu Śródziemnym rozłożył okręty swoje i on pomimo to zdołał się wymknąć!

— To prawda, że pokazał sztukę, ale jeszcze sprawa nieskończona, teraz nie ujdzie cało!

— Czy można liczyć na posłańca pańskiego?

— Najzupełniej można na nim polegać.

— Dobrze, zatem oddaj mu pan ten list, admirała zawiadamiam, że Bonaparte jest w Ajaccio i że trzeba go schwycić, dla większej zaś pewności dodaj pan słów kilka.

Elton usiadł przy biurku i kiedy skończył, zwrócił się do pani de Contades:

— Zanim list ten oddam posłańcowi mojemu, który czeka na mnie przy Point du Jour, udam się

natychmiast do Barrasa, ażeby go uwiadomić o tem, co się stało.

— Myśl dobra.

— Czy nie ma czasem u pani kogoś takiego, kto mógłby list ten odnieść we właściwe miejsce?

Estella pomyślała chwilę i uśmiechnęła się sama do siebie:

— Wiem już, przez kogo poślę — rzekła — możesz spokojnie udać się do Barrasa i zapytać się, co teraz należy uczynić. Rzeczpospolita skończyła swój żywot, nie potrzeba też nam zupełnie nikogo nowego przy podziale łupów; obiad ten wytworny zjemy sami, bez pomocy Bonapartego.

Podczas gdy Elton, pożegnawszy się, wychodził z mieszkania, Estella kazała przez służącego przywołać do siebie Hektora.

— Drogi przyjacielu — przemówiła serdecznie — zapewniałeś mnie zawsze, iż na jedno skinienie moje gotów jesteś popędzić bodaj na kraj świata.

— I nie cofam tego — odparł Laringuet, kłaniając się uprzejmie.

— Dziś nie potrzeba mi wcale, żebyś pan pędził aż do bieguna, wystarczy, gdy się udasz do Point du Jour; tam oczekiwać będzie na ciebie pewien człowiek, któremu oddasz łaskawie ten bilecik.

Podług wskazówek Eltona, opisała wygląd owego posłańca i serdecznie rękę wyciągając do młodego szlachcica, spojrzała mu zalotnie w oczy.

— Czy jesteś gotów, panie Hektorze, uczynić to dla mnie?

— Z największą rozkoszą, czarowna pani, proszę o ten liścik.

— Daruj, że nie powiem ci, co on zawiera, w każdym jednakże razie ufam dyskrecyi pańskiej. Nie wymagam niczego więcej, jak tylko milczenia.

Nie pytając o nic więcej, Hektor skłonił się nisko, schował list do kieszeni i przyrzekł, że natychmiast uda się w drogę.

W pół godziny później wśród tłumu przechodniów na Polach Elizejskich ukazał się Laringuet z zamiarem udania się prosto do Point du Jour.

Nagle wśród całego szeregu w tę i ową stronę posuwających się powozów dostrzegł karetę Grosrenarda, a w niej Alicję.

Poznała go natychmiast i kazała się zatrzymać stangretowi, uradowana też niezmiernie zawołała z daleka:

— Proszę mi towarzyszyć, pojedziemy razem!

Kiedy Hektor, posłuszny temu życzeniu, usiadł już w powozie, Alicja zapytała go cicho.

— Zkądże powracasz, tyle dni cię nie widziałam? On odpowiedział niedbale:

— Byłem właśnie u pani de Contades.

Przygryzła wargi i zadumała się smutnie. Więc znów ta znienawidzona kobieta...

Odtąd milczała już przez całą drogę aż do Quai Voltaire, gdzie Grosrenard mieszkał po powrocie swoim ze wsi.

Powóz zatrzymał się przed domem i Hektor podał rękę na pożegnanie, ale ona tak serdecznie prosiła go, ażeby bodaj na chwilkę wszedł z nią razem, że rad nie rad zdecydował się wstąpić na kwadrans.

Grosrenarda nie było właśnie w domu, więc też kiedy znaleźli się sami, Alicya zapytała go wesoło:

— Teraz racz mi powiedzieć, panie wicehrabio, co robiłeś u pani de Contades?

— Ah! zupełnie co innego, aniżeli tu czynić zamierzam — odparł rozbawiony, chwytając ją w pól i składając pocałunki na jej karminowych ustach.

Odtrąciła go Alicya.

— Nie o to się pytałam — zawołała śmiejąc się wesoło — to rzecz najmniejsza.

— Więc cóż dla ciebie jest ważniejszego?

— Daleko ważniejsze byłoby opowiedzenie, jak się bawicie w salonach tej pani?

— Jak obecnie, to czynimy przygotowania do przedstawienia wielkiej tragedyi — odrzekł dwuznacznie.

— Co to ma znaczyć?

— Najzwyklejsza w świecie tragedia, do jakiej przyzwyczailiśmy się od lat sześciu, zakończenie tylko może być inne, aniżeli bywało dotychczas. Role już zostały rozdzielone, jedni grają „zaufanych“, drudzy „tyranów“, trzeci „posłańców“....

Urwał nagle i schwycił się za kieszeń.

— Parbleu! gotów byłbym przy tobie zapomnieć zupełnie...

— O czym?

— Ah! oddano mi list i to list tego rodzaju, że nie mógłbym ci go powierzyć, czy jednakże nie masz tu jakiego posłańca, któryby mi mógł sprawę tę załatwić?

Najspokojniej w świecie położył list na stole,

widocznie nie przywiązując zbyt wielkiej wagi do treści tego pisma.

— Posłaniec znajdzie się na każde zawołanie—zawołała i wybiegła, unosząc list z sobą.

Za jakąbądź cenę postanowiła zajrzeć do wnętrza tej koperty, przeczuwała bowiem jakąś tajemnicę, jakąś przygodę miłosną, w którą Hektor jest zawikłany.

Przecież on wracał z pałacu pani de Contades! Nareszcie dowie się wszystkiego!...

Alicya jednakże nie śmiała listu otworzyć, dała tylko kilka ścisłych instrukcyj lokajowi, który natychmiast zjawił się przed Hektorem.

— Udasz się natychmiast z tym listem do Point du Jour—rzekł tonem rozkazującym.—Tam przed gmachem pocztowym czekać będzie człowiek, ubrany brunatnie, z pasem czerwonym, w butach żółtych; żadnych wskazówek więcej ci nie potrzeba, skoro więc list oddasz, to przyjdiesz i zdasz mi relację.

— Stanie się wszystko podług pańskiego rozkazu—i wziął list z rąk Hektora.

Alicya wyszła za nim i odebrała mu kopertę, wzamian za ten list doręczając lokajowi zwinięty kawałek papieru.

Hektor patrzył przez okno i widział, jak oddalał się służący.

Alicya powróciła do pokoju, mając w kieszeni list tak bardzo pożądaný.

— Gdzie twój ojciec?—zapytał.

— Och! ojciec teraz jest bardzo zajęty, rząd kazał w Alzacyi budować nowe fortece, więc też ojciec

stara się o te roboty; już czterech inżynierów udało się do Alzacyi.

— Ma rząd słuszność. podejmując budowę nowych fortec — zauważył — bardzo bowiem łatwo być może, że wojna wybuchnie właśnie w tych stornach.

Popatrzyła na niego uważnie i rzekła dobitnie:

— Ojciec mój zauważył, że jeżeli kiedy, to teraz właśnie młodzi członkowie starych rodzin francuskich mogliby okazać swoje usposobienie pojednawcze, poświęcając usługi dla dobra ojczyzny i kierując robotami w Alzacyi.

Ironiczny uśmiech zaigrał na ustach Laringueta.

— Takie jest zdanie twego ojca, nieprawda? Co zaś ty, Alicyo, rzekłabyś na tę propozycję, uczynioną szlachcie francuskiej?

— W tym wypadku zgadzam się zupełnie z ojcem.

— Alicyo! co też ty mówisz! więc chciałabyś, ażebym kopał rowy, zwoził ziemię, ustawiał nasypy w Alzacyi, zamiast patrzeć w twoje piękne oczy? Czy już żadnej nie masz litości nademną?

— W każdym razie lepiej z trudem zdobyć sobie stanowisko w świecie — odparła mężnie — aniżeli całe życie siedzieć z założonemi rękoma.

— Czarującą jesteś, gdy wygłaszasz te zasady moralności z powagą kaznodziei! O ty, mądrości szkolarska!

Pomimo uśmiechu ironicznego, z jakim to mówił Hektor, w głosie czuć było nutę gniewu i dumy.

Alicya wzruszyła tylko ramionami, on zaś ciągnął dalej w tym samym tonie:

— Wiem, że równie mądrych zdań, równie głębokich, a może i głębszych jeszcze znajdziesz całe setki na zawołanie, wyręczę cię przeto pod tym względem, a więc: „wszyscy ludzie są sobie równi,” „na to człowiek żyje, ażeby wypełniał obowiązki swoje,” „koń jest najszlachetniejszym zwierzęciem,” — „cnota wynosi ludzi ponad tłum”—i t. d. i t. d. piękne zdania! Nie zawsze jednakże zdolny jestem wysłuchać wszystkiego od początku do końca, mam też nadzieję, że przy następnem spotkaniu naszym oszczędzisz mi kazań w tym rodzaju.

Zimno już zupełnie pożegnał się z Alicją i wyszedł podrażniony, a kiedy znalazł się na ulicy, mówił do siebie:

— Dyabło mieszczańskie poglądy ma ta dziewczyna! Kodeks moralności w zlocistej oprawie!

Alicja patrzyła przez okno, gdy Hektor się oddalał, a oczy jej łzą nabiegały; otarła je wszakże, cofnęła się w głąb pokoju i wydobywając list z kieszeni, pośpiesznie rozerwała kopertę. Spodziewała się znaleźć tutaj jakieś wynurzenia miłosne, mniemała, że uchwyci nici intrygi sercowej, więc zdumiała się też ogromnie, gdy zaczęła czytać, co następuje:

„Do pana Jerzego Strafforda, esquire, komendanta floty angielskiej przy wybrzeżu lyońskim.”

„Przed czterema dniami Bonaparte, powracając z Egiptu, wylądował w Ajaccio, nie może jednakże tej miejscowości opuścić z powodu wiatrów nieprzychylnych. Doradza się panu, ażebyś, korzystając z tej sposobności, oddał usługę przyszłemu królowi Francji, w przeciwnym bowiem razie, następstwa mogły-

by być jaknajgorsze, zwłaszcza gdy grunt w Paryżu jest już najzupełniej przygotowany.

Estella, margrabina de Contades.“

U spodu listu mieściło się jeszcze kilka wyrazów, skreślonych po angielsku, których Alicya nie rozumiała, a które zaopatrzone były w podpis: „Elton.“

Zdumiała się Alicya i jeszcze raz list przeczytała od góry do dołu.

Bonaparte powraca z Egiptu, ten, którego świat cały miał już za zgubionego, znajduje się w Korysyce!

W tej chwili wszedł ojciec do pokoju, a widząc list w ręku Alicyi, zapytał:

— Cóż to ukrywasz tak przedemną?

Uśmiechnęła się przymuszenie i rzekła napozór wesoło:

— To tylko list od mojej modystki, a takich rachunków nie pokazuje się nikomu.

Pomimo młodości swojej, Alicya rozumiała bardzo dobrze, jak wielką posiada tajemnicę, nie chciała się też na razie podzielić z nią nawet z ojcem.

.

Linoskok i akrobata Barton, otrzymawszy z rąk służącego Alicyi kopertę z pustym kawałkiem papieru, natychmiast udał się w drogę do Marsylii, gdzie stanął po trzech dniach uciążliwej drogi.

Agent angielski ministerium Pitta zdziwił się niezmiernie i nie mógł sobie wytłómaczyć, co oznacza taka kartka białego papieru.

ROZDZIAŁ X.

B a c h a n a l i e.

Nie zwłócząc ani chwili, Anglik udał się natychmiast do Barrasa, ażeby mu zakomunikować nowinę niezwykłą.

W pałacu Luksemburskim, gdzie ten dyrektor mieszkał razem z innymi kolegami, Elton nie zastał Barrasa, napróżno szukał go także w małej willi w Clichy. Zawiadomiono go jednakże, że dyrektor znajduje się albo w Palais Royal, albo też w Café de Chartres, gdzie w ostatnich czasach zwykł przebywać dość często i długo.

Pomimo, że noc zapadła zupełna, Elton udał się tam natychmiast i zdaleka już spostrzegł, że okna pierwszego piętra, gdzie główne mieściły się salony, rzęsiście były oświetlone. Już na ulicy także dolaływał go brzęk szklanek i głośnie wybuchy śmiechu. Widocznie liczne i wesołe zebrało się towarzystwo.

Café de Chartres służyło podówczas jako punkt, w którym zbierała się przeważnie młodzież szlachecka, członkowie klubów rojalistycznych, którzy w osta-

tnich zwłaszcza czasach gorączkową prawdziwie rozwinęli działalność.

Jedni z namiętnością oblegli zielone stoliki i grali w karty, drudzy, śmiejąc się wesoło i dowcipując, popijali szampana, poncze rozmaite, a przeklinali wtedy urządzenia Rzeczypospolitej.

— Za miesiąc inaczej będzie wyglądało wszystko na bruku paryzkim!

— Potrafiemy przymusić burżoazję nanowo do czyszczenia nam butów, jak to bywało dawniej.

— Parol! choćbym wszystko miał stracić!—zawołał w tej chwili ktoś przy zielonym stoliku, a drugi głos zawtórował:

— Do diabła! znów zawiódł mnie ten król przeklęty.

Odpowiedziano mu śmiechem:

— Na królów nie wolno w tej chwili nic mówić!

— Przegrałem ośmnaście tysięcy franków — krzyknął Ouvrard—ale odbiorę to wszystko z procentem, gdy Rzeczpospolita likwidować zacznie rachunki swoje.

— Ah! mój Boże!—rzekł jakiś młodzieniec z udanem rozmarzeniem — takie to niedawne czasy, gdy o jedno tylko piętro wyżej od nas mieszkała piękna Julka, z którą pewnego wieczoru hrabia Artois...

— Dobre to były czasy, najpiękniejsze lata 86 i 87-my!

— Te czasy jeszcze powrócą — zawołano chórem—teraz weźmiemy się na seryo do pracy.

— Przedewszystkiem zabrać się nam przyjdzie do tych złodzieiów, którzy zagrabili nam nasze dobra—

zawołał Vitry, posiadający majątek ziemski, zasekwestrowany przez rewolucję.

— Tylko proszę, nie żądajcie panowie zbyt wiele — rzekł Barras — wystarczy, gdy podaną wam będzie pieczeń dobra, bez sosu można się obejść doskonale.

— Obywatelu Barrasie, my jeszcze inne rachunki mamy do załatwienia i nie wypuścimy z rąk tak łatwo Jakobinów, którzy przez tyle lat maltretowali Francję.

— Panie Vitry!

Barras, który w tej chwili przypomniał sobie, że i on niegdyś był Jakobinem, słowa te uważał za zbyt radykalne, ale Armand, nowy uchwyciwszy kieliszek, podniósł go w górę i zawołał:

— Piję na cześć króla naszego, a niech dyabli porwą tych, którzyby nie wychylili takiego toastu!

Wszyscy podnieśli się natychmiast i o ściany salonu odbił się gromki okrzyk:

— *Vive le roi!*

— Dajcie panowie pokój — perswadował Barras — mogą to ludzie posłyszeć na ulicy.

— Tam lepiej! — odparł Vitry — niech się tłumy znów przyzwyczają do tego okrzyku — a nie czekając dłużej, otworzył okno i krzyknął na całe gardło:

— Niech żyje król!

— Ci zapaleńcy gotowi nas na wielkie narazić nieprzyjemności — mruknął Barras gniewnie do swojego sąsiada, księcia Lanjuinais, poczem ostentacyjnie zwrócił się do grających i rzekł: — stawiam na damę!

— Król i dama, razem połączeni, zawsze mają powodzenie.

Wszyscy zrozumieli dobrze, co oznaczały te słowa dyrektora. Pociągnięto karty i przed Barrasem znalazło się sporo złotej monety.

— Najpiękniejszą melodyę wygrywają zawsze pieniądze złote, tem więcej zaś teraz miłe są dla ucha, gdy zdają się uderzać na podzwonne dla Rzeczypospolitej.

— Mam myśl doskonałą — zawołał Vitry — urządzmy tu pogrzeb zawczasu.

Pomysł ten wszystkim spodobał się bardzo, przyniesiono też odrazu jakąś starą czapkę, w którą zwykli się byli stroić walczący za wolność, przyniesiono rozeń, na który wbito czapkę, lekarz obecny spisał akt zejścia, ustawiono świecę i jeden z obecnych zaczął wygłaszać wielką mowę pogrzebową.

Wywołało to szalone wybuchy śmiechu, zabawa też trwała w najlepsze, gdy nagle drzwi otworzono i do salonu wszedł Elton.

Powitano Anglika z radością, Vitry zaś wołał:

— Dajcie tu butelkę, wypijemy za zdrowie przybysza! Tylko pana nam tutaj brakowało jeszcze jako przedstawiciela Anglii na pogrzebie świętej matrony, pani Rzeczypospolitej.

Elton ani słowa nie odpowiedział i tylko zimno przybliżył się do stołu, a wszyscy spostrzegli, że twarz jego zmieniła się do niepoznania. Umilkli wszyscy, on zaś zapytał:

— Gdzie jest dyrektor Barras?

Dyrektor, zajęty grą, od niechcenia podniósł głowę i rzekł:

— O cóż chodzi?

Anglik bardzo był poważny, gdy zwracając się

do towarzystwa, zawołał z uśmiechem ironicznym na ustach:

— Panowie tylko pić umiecie i bawić się wesoło, ale żaden z was nie ma pojęcia o tem, co się dzieje na świecie!

— Powiedz nam zatem, jeżeli wiesz jaką nowinę!

Elton rozejrzał się wokoło i rzekł dobitnie:

— Bonaparte powrócił, wylądował na Korsyce!

— Niech piorun trzaśnie, jeżeli to prawda — wymknęło się natychmiast z ust Barrasa, który, jak-gdyby go kto ukłół szpilkami, zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że aż to krzesło się przewróciło, a świeczniki zadrgały na stole.

W przystępie wściekłości rzucił karty na stół i podbiegł do Eltona. Grobowa nastała cisza, a wszyscy oczy przerażone zwrócili na Anglika.

— Bonaparte powrócił?! Nie, to niemożliwe! — jeszcze raz powtórzył Barras.

— Niestety! tak jest, a nie inaczej — zimno odparł Elton.

— W takim razie to wasza wina, dlaczego Anglicy pozwolili mu się przedostać?

— Przeklęty człowiek — szepnął książę Lanjuni — gotów nam popsuć wszystkie szyki.

Barras pośpiesznie chodzić zaczął po pokoju w tę i ową stronę i chłodził się serwetą, jak gdyby zamało mu było powietrza. Nagle przystanął przed Anglikiem i zawołał groźnie:

— Pani! rozstrzelać cię każe, jeżeli przekonamy się, że opowiedziałeś nam bajkę! Czy ręczysz mi za to, że Bonaparte wrócił?

Groźna postawa dyrektora nie zdołała wyprowadzić Eltona z równowagi, odparł też spokojnie:

— Tego, że Bonaparte wylądował na Korsyce jestem tak pewny, jak tego, że mam przed sobą dyrektora Barrasa. O tem niema już przeto nawet co mówić, teraz zależeć tylko powinno na tem, ażeby on nie mógł dostać się do Francyi, a ja poczyniłem już pewne kroki w tej mierze.

Skinął na Barrasa i obydwaj wyszli do przyległego salonu, gdzie długo z sobą szeptali. O picciu, grze w karty, ani o pogrzebie Rzeczypospolitej nie myślał nikt w tej chwili.

I znów drzwi się otwarły i do salonu wszedł nowy gość, Hektor Laringuet. Widząc karty rozrzucone i wino rozlane, zawołał od progu wesoło:

— Ho, ho! wybornie się bawicie!

Nikt nie odpowiedział śmiechem na te słowa, więc też Hektor natychmiast rozglądać się zaczął po twarzach przyjaciół, poczem zapytał z niepokojem:

— Co to jest, co to wszystko znaczy? Czyżby jakaś ręka tajemnicza wypisała na ścianie: *Mane—tekel—fares?*

— Nie żadna to ręka tajemnicza, ale Bonaparte ukazał się na ścianie — odparł Armand i objaśnił Hektora o nowinie, jaką przyniósł Elton.

Zdumieli się wszyscy, że Hektora bynajmniej nie przeraziła ta wiadomość, przeciwnie głośnym wybuchnął śmiechem:

— Jeżeli już tak jest, no! to nie ma co gadać! Lepiej zabawić się dobrze tej, ostatniej nocy, jasne to bowiem, że całe wasze piękne sprzysiężenie odtąd w puch się rozwiewa.

Schwycił kieliszek i unosząc go w górę zawołał:

— *Vive la joie!*

— Nie pora teraz na dowcipy, Hektorze!

— Ba! nie znasz widzę życia, jeżeli bowiem ktoś toczy się z góry na dół, to powinien czepiać się każdej gałązki, która mu się na drodze nasunie. Dajcie mi szampana, chcę się bawić i wcale nie myślę kłopotać się waszym Bonapartym.

Duszkciem wychylił podany kielich szampana, a obejściem całem zdradzał swobodę nienaturalną. Oczy rzuciły jakieś błyski, każdy też, kto mu się przypatrzył uważnie, dostrzegł, że ręce drżały mu febrycznie.

Nikt nie wtórował tej wesołości i ten i ów wychodzić zaczął do sieni, z kąd pocichu podążał na ulicę; pozostali rozmawiali z sobą zdaniami urywanymi:

— Dziś jeszcze rozmówić się muszę z Grandmaisonem.

— Ciekawa rzecz, co Moreau na to powie?

— Natychmiast trzeba dać znać ministrowi wojny i zasięgnąć jego rady.

— Ani minuty nie mamy do stracenia.

— Na wypadek pojawienia się Bonapartego w Paryżu łatwo przyjść może do rozruchów.

Hektor z kieliszkiem szampana w ręku przybliżył się do grup rozmawiających i śmiejąc się ciągle, rzekł:

— Daję słowo, że wyglądacie w tej chwili na senatorów rzymskich, którzy patrzyli ustawicznie na drzwi w obawie, czy się tam kat nie ukaze. Wy-

pijmy lepiej, może to już ostatni raz zabawiamy się wesoło, Bonaparte nam wszystkim gotów ściąć głowy.

— Tyś pijany, Hektorze!

— Nie, przeciwnie, trzeźwiejszy jestem, aniżeli wy wszyscy. Bądźcie spokojni, jeżeli Bonaparte każe was ściąć, to przyśle wam napewno po sznurku jedwabnym. Dziś zrobił się już sam baszą egipskim, jutro ogłosić się może baszą francuskim.

Barras i Elton, niespostrzeżeni przez nikogo, wymknęli się drzwiami tylnymi. Powoli inni uczynili to samo, Armand de Vitry mruczał, wychodząc:

— Tak się to wszystko dzisiaj wesoło zaczęło! I któżby mógł przypuszczać?

Hektor ani myślał się ruszyć; zasiadł wygodnie przy stole, kazał sobie podać jeszcze butelkę szampana i zawołał:

— Ja zostaję, ale widzę, że zajęcze macie serca, skoro jeden wyraz „Bonaparte“ taką mógł wywołać panikę.

— Kochany przyjacielu, to sprawa poważniejsza, aniżeli sądzisz — odparł Armand, ale Hektor śmiał się pogardliwie:

— Co wy warci jesteście, co wy umiecie, albo raczej, co my umiemy wszyscy! Pięknie mówić po salonach, biegać za kobietami, pić, grać w karty—to cała nasza sztuka!

Znów wychylił kilka kieliszków, wzburzenie w nim przybierało niezwykle rozmiary; wstał, rękę wyciągnął przed siebie i mówił:

— Takich ludzi kobiety oszukują, wino oszołamia, a karty zawodzą. Kobiety mają racyę...

Zadumał się nagle i więcej do siebie, niż do przyjaciela mówił dalej:

— Gdybym mógł w to uwierzyć, że Alicya będzie mnie zawsze kochała! Nie! ona taką samą będzie, jak inne, płochę, pragnące hołdów i zabaw, istoty bez serca. A jednak była chwila, że wierzyłem w jej miłość...

Hektor wstał i zataczając się, chodzić zaczął po pokoju. Nagle uchwycił za ramię Armanda i znów zaśmiał się wesoło:

— I cóż, Armandzie? Za trzy miesiące kończy się stulecie, które nosić będzie nazwę walk o swobodę. Czyż taki wiek kończyć się może obrzaskiem w ustach? Trzeba ten smak poprawić, pijmy, przyjacielu!

— Proszę cię—rzekł Vitry łagodnie—daj pokój, nie pij więcej...

— Dobrze, nie będę pił, ale przynajmniej powietrza mi dajcie, bo się uduszę wśród zapachu wina i świec.

Otworzono pośpiesznie okna, przez które wdarło się światło szarawe, zwiastujące świt.

W tem oświetleniu dziwnie wyglądał salon klubu arystokratycznego; krzesła przewracane na podłodze, lichtarze z powypalanemi świecami, karty rozrzucone w nieładzie i rozsypane po dywanach, na obrusach i serwetach pełno plam, a wszystko to miało taki pozór, jak gdyby nie dokończono uczyty, jakby biesiadników przestraszono nagle, jak gdyby wróg wtargnął i rozpędził uczujących.

Dwaj przyjaciele spojrzeli w lustro i sami się

zdumieli wyglądem swoim. Hektor poczuł niesmak, wzdrygnął się i kieliszek rzucił o ziemię.

— Niech żyje śmierć — zawołał nagle — niechaj ona przyjdzie, dojrzałeśmy przecież zupełnie dla jej przyjęcia! Śmierć, albo... Bonaparte! Oboje jednego warci.

I znów wesoło na pozór zwrócił się do Armanda:

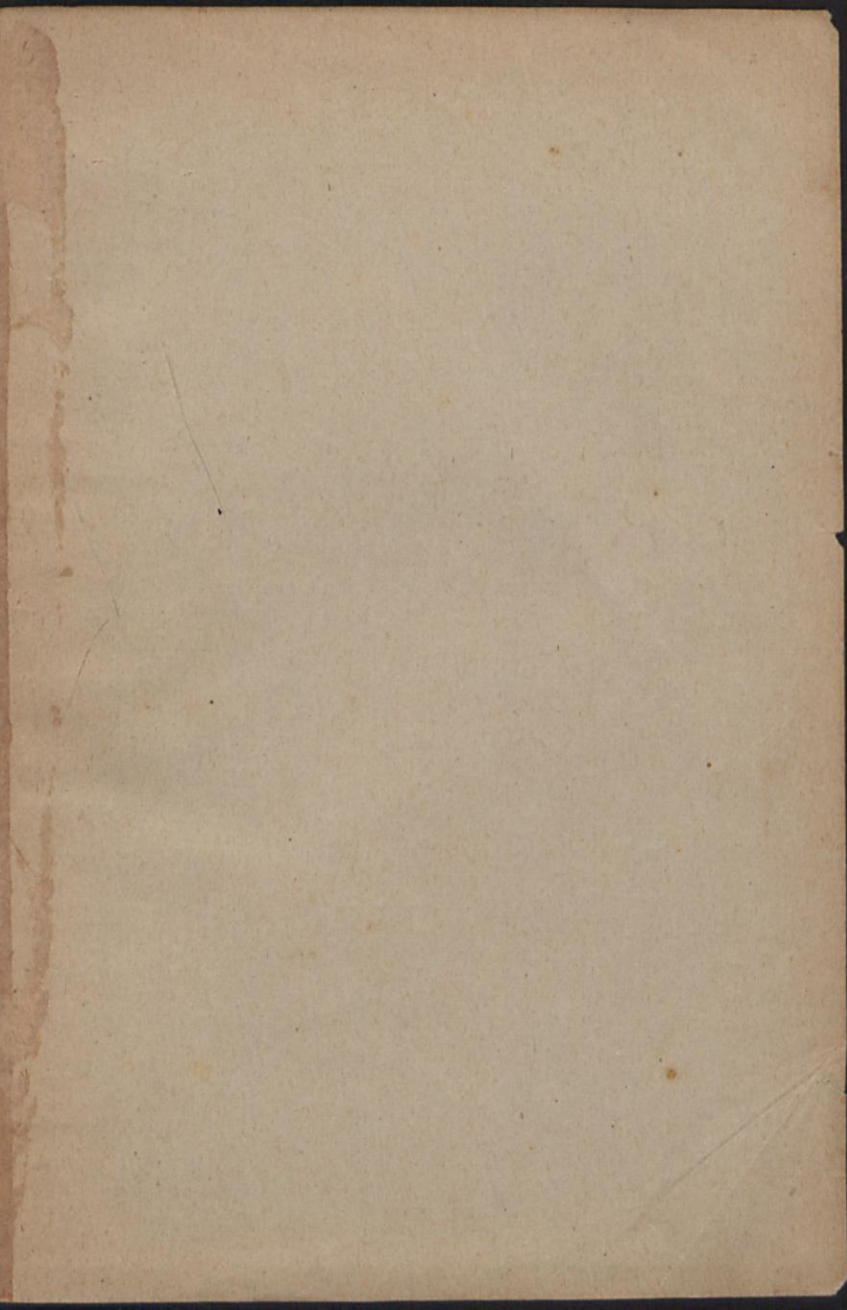
— Jak sądzisz, czy wszystko wymiecie doszczętnie?

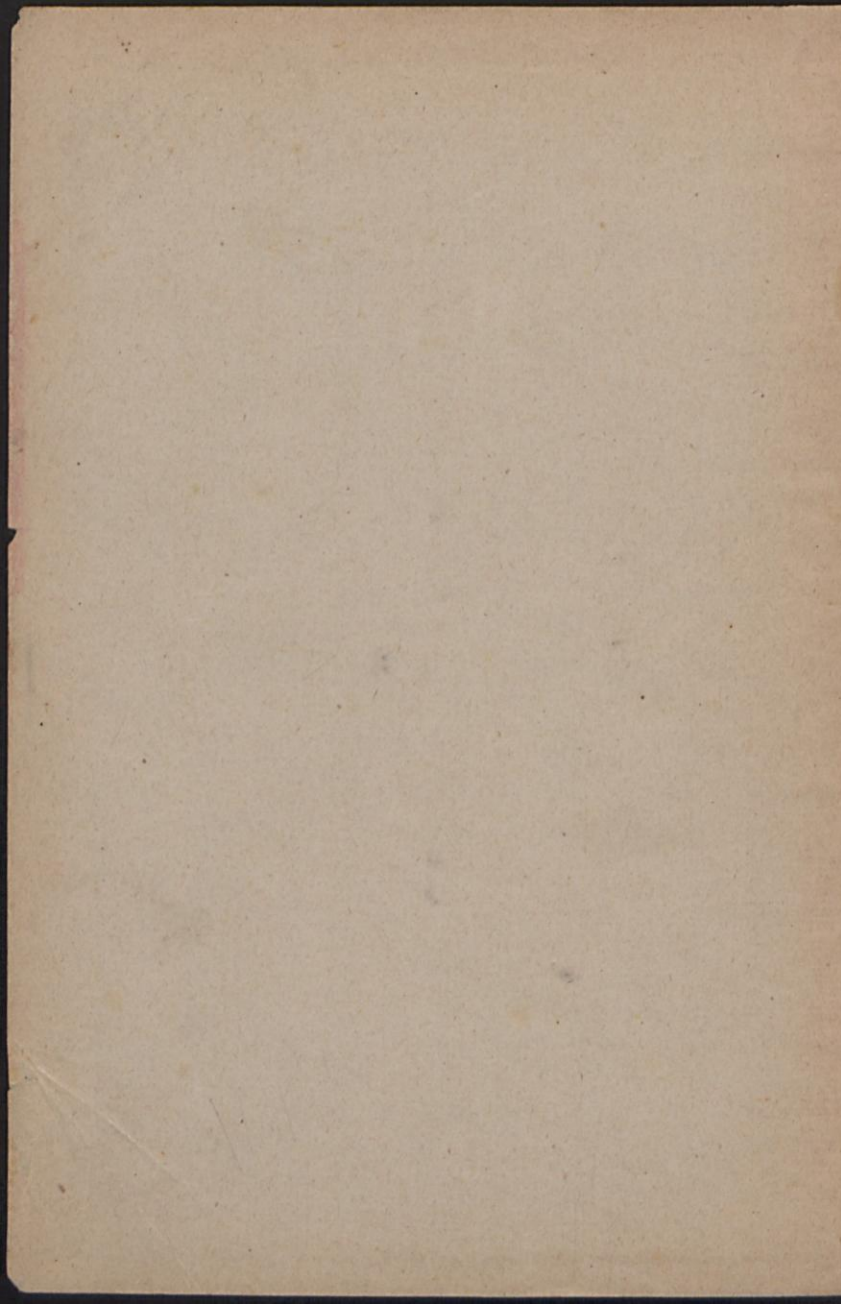
— Kto ma wymieść? Czy Bonaparte?

— I ty się pytasz jeszcze! Ah, jaki ty jesteś zabawny! Mówię ci przecież, że śmierć i Bonaparte—to jedno. Wymiatanie będzie teraz podjęte na wielką skalę. Precz z tem zgangrenowanym społeczeństwem i z tym wiekiem wściekłości! Wszystko to wymieść potrzeba doszczętnie, a wtedy i nam będzie lepiej. Przecież dojrzałeśmy już, jak te owoce, które zerwać trzeba, gdyż niezerwane same spadną z drzewa i zgniją.

Kiwał się na krzesle ustawicznie, głowę opuścił na ramię prawe i mówił do słońca, które wschodziło, coraz błędniej, coraz niespokojniej....

Hektor bredził, ale od czasu do czasu rzucał słowa rozumne, napróżno bowiem siłił się zagłuszyć trunkami strach, który i jego opanował na wieść o powrocie z Egiptu groźnego generała Bonaparte.





Książnica Zamojska



10258721

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

